ŁOWIEC POLSKI



„Mama z przychówkiem"

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (954) **Maj — 1948 r.** **Cena zł 50**

OZNAJMIENIE

W lipcu r. b. upływa 25 lat od chwili powstania „Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich", przemianowanego w 1936 r. na „Polski Związek Łowiecki" Uczczeniu tej **ćwierć wiekowej rocznicy powstania centralnej organizacji łowieckiej** poświęcone będzie Walne Zgromadzenie członków Związku, wyznaczone na dz. 4 lipca, zaś Redakcja „Łowca Polskiego" **wyda specjalny podwójny zeszyt pisma (Nr 6/7)**, ukazanie się którego przystosowanie będzie do tegoż terminu.

REDAKCJA

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (954) 1 9 4 8 Maj



Filmujemy zanurzeni po szyję

WŁODZIMIERZ PUCHALSKI.

PIERWSZY POLSKI FILM Z ŻYCIA PTAKÓW

Zanim doszło do wycelowania cyklopiego oka obiektywu na gwarne sprawy ptasie i zwierzęce, trzeba było pokonać wiele trudności. Pierwszą było odszukanie odpowiedniego terenu, gdzie dałoby się odnaleźć bogactwo ptactwa niepłoszonego przez wszędobylskich.

W okolicach Wrocławia, niedaleko granicy województwa poznańskiego, wśród malowniczych stawów i jezior, koło miasteczka Milicz, postanowiliśmy szukać szczęścia w niełatwym zadaniu podchwycenia ptasiego życia in flagranti. Wyprawę zorganizował krakowski oddział Instytutu Filmowego. Ale czekały jeszcze wszystkie urzędowe formalności, oraz sprawa najważniejsza — zaopatrzenie się w całą konieczną aparaturę.

A gdy załatwiono już wszystko, nadszedł śpieszący się zawsze i zawsze zbyt krótki maj. Najpiękniejszy okres ptasiego życia. Przyroda wybuchnęła niespodziewanie w całej swej urodzie. Zaczęły się gody wszystkiego co żyje. Ostatnia chwila, by zacząć pracę. Kilka tysięcy hektarów wody tętniło całą gamą głosów swych mieszkańców. To gwarne i ruchliwe życie nie opuszczało nas do ostatniego dnia pobytu w Miliczu. Wreszcie pewnego dnia o świcie wypłynęliśmy na zwiady dla określenia ostatecznego miejsca działania. Po wojennemu — bazy operacyjnej. Rozpoznanie terenu nie było łatwe. Należało znaleźć miejsce najbardziej zaludnione, a zarazem łatwe do poruszania się i filmowania. Stała się nim maleńka wysepka, otoczona dookoła gęstym wałem oczeretów i trzcin. Zanim ustaliliśmy to miejsce i za-

nim położyliśmy fundamenty bazy—snopki trzciny — słońce położyło się za nadbrzeżnym lasem i żaby gardłowały zawzięcie.

Nagła odmiana pogody utrudniła nam w następnych dniach pracę. Temperatura spadała rankami poniżej zera i uniemożliwiała brodzenie w wodzie, które było konieczne przy budowie szałasów i badaniu terenu. Na pomoc miejscowej ludności nie można było liczyć. Uważali nas za tłumaczyć, że to będzie film, że się go pokaże w kinach i szkołach.

„A cóż to, w miastach jajek nie widzieli?"

Więc zdani na własne siły pracowaliśmy nadal sami. Należało jeszcze ustalić gatunki ptaków i zrobić inwentaryzację odkrytych gniazd. Wreszcie przyzwyczaić aktorów mimo woli do naszej obecności, a ściślej do naszego maleńkiego trzcinowego bunkra, skąd wyglądaliśmy wielkim nie-



Ptasia wyspa

nieszkodliwych wariatów i zabawnych masochistów, hodujących na jesień reumatyzmy. Jeszcze większe zdziwienie wzbudziła premia obiecana chłopakom za wynajdywanie gniazd. Tak — to był szczyt dziwactwa — nie zjadać, ale fotografować krase jajka czajek i mew. Nie dało się wy- mrugającym okiem Arriflexa. Tak poznawaliśmy okolicę, a okolica nas. Przyzwyczajaliśmy się do siebie. Mewy śmieszki, najliczniejsze lokatorki wyspy, królowały na niej i ożywiały ją nieustającym ostrym gwarem. Ich przenikliwe głosy zlewały się w jedną dziwaczną symfonię. Ale



Ukrycie z trzcin przed gniazdem perkoza

po paru godzinach słuch otępiały nie chwytał już poszczególnych głosów.

Po kilku dniach poznaliśmy dokładnie ptasią geografię. Oprócz śmieszek zagnieździło się na tym małym obszarze sporo kaczek. Dzikie i diabelnie czujne gęsi zaszyły się w wysokich trzcinach. Ponadto mieszkały tu zwinne jak ryby w wodzie — perkozy uszate o fascynujących złotych oczach. Mieszkał tu również okazalszy od poprzednich, perkoz dwuczuby. Opodal znaleźliśmy również gniazda łysek. Było tego zresztą niezliczone bogactwo. Pierzaste bogactwo.

Wrogiem jego był jastrząb błotniak, zamieszkujący kępę suchych trzcin. Nerwowe, gęstniejące w ostrzegawczych nawoływaniach głosy ptaków zwiastowały jego przybycie. Mewy rzucały się na niego w gromadnym bezładnym ataku, ale nie potrafiły go nawet wytrącić z opanowanego, równego szybowania. Zbierał on co dzień krwawy haracz.

budzącego świata rozdwajały się. Ale słońce było już bliskie. Już daleka biała łuna zaczęła przecierać mgły, jak zapoconą szybę. Budził się również cały wyspiarski świat. Daleko przechadzały się czaple. Przelatywały niskie klucze kaczek. Wszystko to w oparach podobne było do nieprawdziwego, fantastycznego świata—nieba ptasiego, po którym przechadzają się skrzydlate duchy.

Słońce podchodziło coraz bliżej. Oczy odnajdywały w trawie gniazda mew, jak białe kępy kwiatów. Budziły się ich właścicielki. Ocierały mokre od rosy piórka. Rozprostowywały skrzydła. Jeszcze chwila—a na niebie zakołował krzykliwy, pierzasty bałagan. Ładne, biało ubrane brunetki — śmieszki, pozowały nam wyśmienicie. Gwiazdy z Bożej łaski. Aparat raźno mruczał przełykając metraż. Ale momenty filmowania były krótkie, a godziny leżenia niemiłosiernie długie. Kości bolały i każdy mięsień na swój sposób przypominał nam o swym istnieniu. Ale gdy dzień się skończył i łódź oswobodzicielka przybyła po nas, przyjemnie było skonstatować rezultat dnia—120 mtr. taśmy ze scenami de la vie privée mew.



Długi objektyw Arriflexu w pogotowiu

Ale ten zespół „aktorów" i „statystów" nie składał się wyłącznie z ptaków. Na wyspie mieszkała również sarna, wodząca za sobą małego długonogiego „podlotka", który od kilku dni zaledwie oglądał ten barwny i ruchliwy świat wielkimi wilgotnymi oczami. Wśród suchych tataraków przemykała się czasem wąsata wydra. Raz nawet przypłynął tu wyga lis. Ale ilością i rejwachem górowała nad wszystkim żabia gawiedź. Prześcigała się w miłośnych ariach. Przygłuszał je tylko czasem brodzący filozoficznie po płytkich wodach bocian.

Nadeszła wreszcie upragniona pora „białego" myślistwa. Uzbrojeni w ciężką i niewygodną aparaturę wyruszyliśmy przed świtem na stanowisko. Maleńka chatka niezbyt była przytulna. Wewnątrz chlupotała niecierpliwie woda, na której ułożyliśmy deski legowiska. Walka toczyła się w niej i z tą wodą, i z błotem dostającym się wszędzie, i z szeleszczącymi bezlitośnie trzcinowymi ścianami. Wreszcie przygotowaliśmy wszystko na nadejście dnia. Dookoła chodziła jeszcze mgła i przez to naturalne dutto kontury

Gorzej było z dziką gęsią. Ta przebiegła i najczujniejsza z tubylców, założyła swoje „ognisko" domowe w smukłych trzcinach. Pozostawiliśmy jej tydzień czasu na przyzwyczajenie się do zbudowanej przez nas budy, położonej o 10 mtr. od gniazda. Nie była jednak tak uprzejma by nam pozować. Opuściła mieszkanie. Wyrzekła się jajek.

Inna zawiodła również. Co prawda przed samą budą nie uciekła. Przybyliśmy więc jeszcze nocą. Trzeba było cicho, chyłkiem przygotować aparaturę do „obstrzału". Trzeba było ułożyć się w niewygodnej pozycji. Nieznośnie długa 25-o centymetrowa lufa teleobiektywu została wycelowana w stronę gniazda.

Słońce, tak bardzo konieczne dla filmowca, wschodziło powoli po trzcinach. Mierzyłem czas tego zejścia każdym nerwem.



Kolonia mew - śmieszek

Już się zbliża... już dotyka głowy... już cała w blasku! Można! ale jakiś złośliwy tatarak zgina się i zasłania ciekawe oko aparatu. Trzeba go usunąć. Jak najciszej...

Jeden nieopatrzny ruch... i tylko poruszone trzciny świadczą, że jednak gęś była tu jeszcze przed chwilą. Nadaremne czekanie. Wieczorem wracamy zniechęceni.

I następny dzień okazuje się pechowym. Mieliśmy filmować gniazdo jastrzębia. Małe, jak gdyby z waty zrobione potomki powietrznego korsarza, domagały się rozpaczliwie śniadania. Nadaremnie. Rodzice rysowali wysoko opanowane elipsy, ale nie siadali. Trwało to długo. Wreszcie matka spłynęła na gniazdo. Maleństwa podniosły rejwach. Naciskam guzik. Nawet metr taśmy nie przeszedł, gdy nagle równy rytm myli i ustaje. Sałata! — Znaczy to, że taśma w kasecie zacięła się źle założona lub uszkodzona. Nerwowo staram się nałożyć nową kasetę. Może to był mały refleks w teleobiektywie, może zbyt głośny szelest. Przepadło. Już tylko wysoko elipsy i koła.

Były różne przeciwieństwa, były i momenty komiczne. Żaby dawały nam mnóstwo radości swymi uciesznymi zalotami i śliską donżuanerią. Zwłaszcza pojedynki truwerskie były świetne. Balony u śpiewaków pęczniały do nieprawdopodobnej wielkości, świadcząc o skali głosów.

Mieliśmy również dobre dni, kiedy przyroda uchylała nam swych tajemnic, pozwalając na niedyskretne utrwalanie ujrzanego na filmie. Jednym z przyjemniejszych momentów było, gdy asystent zdławionym głosem zwrócił moją uwagę na niespodziewany widok — oto przez czystą przezroczystą wodę płynęła wprost ku nam sarna. Bez zbytniego pośpiechu wyszła na brzeg i otrząsnęła się. Ale to już widziałem okiem kamery. Takiego momentu nie można było opuścić. Tak zawarliśmy naszą znajomość. Okazało się, że sarna i jej młode miały prawdziwie artystyczne zacięcie. Pozowały znakomicie. I były tak fotogeniczne!

A już pękały skorupki i na drobnej fali zaczęły się ukazywać maleńkie kępki żywego puchu. Kaczki wyprowadzały na pierwsze wyprawy swoje potomstwo. I perkozy dochowały się wielu pociech. Jak szanowna mieszczańska rodzina spacerowały pomiędzy kręgami liści nenufarów. Matki sadzały na grzbiecie zmęczone spacerem dzieci. A obok z trzcin wyglądały sumiaste wąsiska sympatycznej wydry. Niby leniwie i niby obojętnie uwijała się po brzegu, aż znikała w wodzie, by powrócić po chwili ze srebrnym błyskiem złowionej ryby u pyska.

Żegnał nas podobnie jak w dzień przyjazdu biały i krzykliwy tłum skrzydeł na bardzo niebieskim niebie. Wyjeżdżaliśmy z żalem, lecz i z zadowoleniem. 30 dni równające się 400 godzinom wytężonej uwagi i pracy zamieniliśmy na kilka tysięcy metrów taśmy, z której powstał pierwszy polski film z życia ptactwa. Tytuł: „Na ptasiej wyspie".

Wł. Puchalski.

Wystawa w Brodnicy

W końcu maja r. b. m. Brodnica obchodzi 650-letnią rocznicę założenia miasta i organizuje w ramach tego obchodu wystawę. W wystawie przyjmie udział Powiatowa Rada Łowiecka w Brodnicy, wystawiając trofea łowieckie i inne pamiątki z pojezierza Brodnickiego, oraz organizując w dn. 30 maja strzelanie konkursowe do rzutków i tarcz.

Wystawę i uroczystości połączone z obchodem obiecał odwiedzić Protektor Polskiego Związku Łowieckiego, Marszałek Polski, M. Rola-Żymierski.

BOLESŁAW ZARZYCKI.

W PUSZCZY PÓŁNOCNEGO URALU

Północny Ural to jeden wielki masyw leśny, ciągnący się nieprzerwanym pasmem od środkowego Uralu, aż po tundrę, sięgającą brzegów Oceanu Lodowatego. Kraj ten wielki, to wymarzone „Eldorado” dla myśliwego na grubego zwierza i wszelkie ptactwo dzikie.

Na schyłku jesieni, gdy „biełka” (wiewiórka) przywdziewa futro zimowe, znane u nas pod nazwą „popielic”, rozpoczyna się sezon polowania, zwany w miejscowym dialekcie „biełkowaniem”. Wówczas mieszkańcy tamtejsi, za wyjątkiem starców i dzieci, śpieszą do puszczy i pozostają tam, aż do nastania zimy. Każdy z myśliwych posiada w puszczy jakby swój obwód łowiecki, oznaczony zaciosami na drzewach. Tam zawczasu, w dzikim ustroniu, pobuduje on szałas z bierwion, pokryje go dranicami, zrobi otwór, przez który, aby wejść, trzeba zgiąć się w pałąk, skleci „nary” do spania, ustawi pośrodku trójnóg, zawiesi na nim kociołek i przygotuje zapas suchego drewna. Schronisko owo nazywa się w miejscowym narzeczu „zimówką”, lub „zimawio”. Taki przybytek wypoczynkowy na zewnątrz i od wewnątrz jest czarny jak smoła, gdyż pieca w nim nie ma. Tutaj myśliwy czasem przenocuje, schroni się w razie niepogody, tutaj rozwiesza on dla przeschnięcia skórki upolowanych zwierząt, tutaj pozostawia swe zapasy w postaci sucharów, cukru i herbaty. Istnieje zwyczaj, że każdy myśliwy ma prawo w napotkanej „zimowce” posilić się, a w razie potrzeby i zanocować, ale nie wolno mu nic ruszyć. Bywały dawniej wypadki, że zabłąkany myśliwiec, albo jakiś włóczęga lub zbieg z katorgi syberyjskiej, przemykający się ostępami ku wolności, nadużyje gościny, po prostu coś skradnie i, aby zatrzeć ślady, poczyna kluczyć po puszczy, w mniemaniu, że uda mu się ujść bezkarnie. Natenczas myśliwy - gospodarz, gdy spostrzeże kradzież, wnet przerywa polowanie, co go oczywiście naraża na dotkliwe straty i wyrusza w pościg za zbiegiem. Wiadomymi mu tylko sposobami, kierowany wprost instynktem zwierzęcym, rozpozna on ślady uciekiniera i dotąd będzie szedł za nim, aż w końcu go doścignie i wymierzy mu sam sprawiedliwość, pakując z zasadzki kulę w pierś.

Takie jest nieubłagane „prawo puszczy”, które jedno tylko mogło wykorzenić złodziejstwo w niej.

W tym to czasie, od kilku już dni polowałem i ja na popielice. Towarzyszem mych łowów był młody, ale doświadczony myśliwy, który z dumą pokazywał głęboką szramę na ramieniu od uścisku rannego niedźwiedzia, gdy to pod ciężarem misia pękło drzewce „rohatyny”.

„Łajka” nasza uszła daleko naprzód i tam gdzieś, zoczywszy wiewiórkę, poczęła naszczekiwać, Zwolna szliśmy, gawędząc ze sobą, w kierunku nawoływania psa. W pewnym miejscu natrafiliśmy na „grono” wiewiórek, więc ja odłączyłem się od towarzysza i począłem polować na własną rękę, bez pomocy psa.

Tego dnia, jak się później okazało, miałem wyjątkowe szczęście. Zwisało już u mego pasa ze dwa tuziny popielic, gdy spostrzegłem, że zabłądziłem. Strzałów sąsiada nie było od dawna już słychać, miejscowość była mi zupełnie obca, a nie mając busoli, nie mogłem zorientować się, w jakim kierunku należy iść. Zaniepokojony nieco tym niemiłym zdarzeniem, zacząłem kołować po puszczy, aż wreszcie znalazłem się, jak to się mówi, w położeniu „bez wyjścia”.

Szedłem teraz już „wprost przed siebie”, jak to radzą sybiracy w podobnych wypadkach czynić, w nadziei, że w końcu natrafię na kogoś lub na czyjąś „zimowkę”.

Słońce już się skryło za wierzchołkami drzew, powiało od ziemi chłodem, wiewiórki przestały niefrasobliwie igrać wśród gałęzi drzew, a ja wciąż szedłem „przed siebie”, rozmyślając nad tym, jak też wypadnie mi chłodną noc spędzić w puszczy, bez ognia (nie palę) i bez sucharów. Wtem doniosło się do mojego słuchu coś, jakby szczekanie psa; nie było to szczekanie „łajki”, a raczej zwykłe ujadanie psa podwórzowego. „Czy to nie halucynacje ze zmęczenia”, pomyślałem, gdyż żadnego osiedla tam być nie mogło.

Przystanąłem, a po chwili namysłu skierowałem się w stronę, skąd dochodziło owe szczekanie.

Było jeszcze dość widno, gdy wyszedłem na niewielką polanę, na skraju której, pod okapem drzew, dojrzałem namiot płócienny, na którym powiewała trójbarwna chorągiewka.

Uwiązany obok namiotu pies, zoczywszy mnie, bardziej jeszcze począł ujadać. Lecz oto rozwarło się płótno namiotu i ukazała się na nim sylwetka mężczyzny. Nieznajomy przystanął na chwilę, jakby się wahał, poczym pewnym krokiem skierował się ku mnie. Ubrany był po europejsku, przez ramię zwisał mu karabin, a w ręku trzymał „Nagan”. Nie dochodząc kilkunastu kroków, zatrzymał się, uchylił kapelusza, mówiąc coś, czego nie mogłem z tej odległości dosłyszeć. A gdy odpowiedziałem na ukłon, nieznajomy podszedł do mnie, wyciągając dłoń na powitanie. Jakież było moje zdziwienie, gdy ów pan przemówił do mnie najczystszą francuszczyzną, zapraszając uprzejmie do swego namiotu.

Lecz zdumienie moje spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy po chwili wyszła ku nam na spotkanie kobieta.

— Moja żona — rzekł Francuz. Była to młoda osoba, słusznego wzrostu, ubrana w niebieskie szerokie szarawary i męską skórzaną kurtkę, przepasaną rzemieniem, za którym zatknięty był pistolet. Uderzyła mnie jej piękna figura i niepospolita uroda. Spod gęsto zwisających na czoło ciemnych loków, patrzyły na mnie duże, wymowne oczy, a powyżej kącików ładnie skrojonych zmysłowych ust, zalotnie igrały w uśmiechu ozdobne dołeczki. Była jak gdyby nieco zaskoczona niespodziewaną moją wizytą i zażenowana, „nieładem w mieszkaniu”.

Pani „domu” zakrzątnęła się przy ognisku, szykując wieczerzę, a my usiedliśmy na posłaniu świerkowym, zastępującym otomanę, i potoczyła się ożywiona rozmowa.

Jak wiadomo, brzegi niektórych rzek i strumieni tego kraju, a zwłaszcza rzeki Wiszery, nad brzegami której właśnie rzecz się działa, zawierają w piasku złoto. Samorodki tego kruszcu, niekiedy wielkości ziaren zboża, a nawet orzecha laskowego, były przedmiotem poszukiwań ze strony ludzi, żądnych łatwego wzbogacenia się i rozmaitych włóczęgów, zwanych

w dialekcie tamtejszym „staratielami". Opanowani gorączką zdobycia złota, ludzie ci, przebywając całymi miesiącami w tajdze, o głodzie i chłodzie, często ryzykując życiem, przesiadują od rana do wieczora nad brzegami wody i za pomocą prymitywnych czerpaków i sit przemywają piasek, wypatrując w nim okruszyn złotych. Bogactwa mineralne Uralu nie uszły uwagi zagranicy. Jakieś towarzystwo akcyjne w Paryżu wydelegowało inżyniera-górnika na Ural, celem zbadania stopnia zawartości złota w tamtejszych miejscowościach. Francuz ten rozbił namiot nad brzegami Wiszery i w towarzystwie żony czynił wstępne badania. Był to człowiek bardzo odważny, skoro się zgodził na rolę poszukiwaczą złota w tych okolicznościach. A było się czego obawiać.

rowali łojem i wkładali w kiszkę stolcową. Nie zawsze jednak i to pomagało, zbóje bowiem wiedzieli o tym triku i często badali i ten schowek.

Po spożyciu wieczerzy, składającej się z zupy z jarząbków, suszonej ryby i herbaty z sucharami, poczęto dyskutować nad tym, gdzie położyć gościa, gdyż namiot był obliczony tylko na dwie osoby. Uradzono, że prześpię się u ogniska, które już dogasało. Wkrótce rozeszliśmy się na spoczynek.

Leżąc wygodnie na miękkich gałęziach i mchu, mimo zmęczenia, nie mogłem zasnąć. Noc była pogodna, puszcza dawno już spała, tylko czasem, gdzieś w głębi jej serca, dało się słyszeć tęskne nawoływania sowy, lub zdradziecki chichot puszczyka. W wyobraźni mej rodziły się jakieś fantastyczne pomysły, przyoblekały



Rodzina dzikich gęsi *fot. W. Puchalski*

Włóczęgów, czyhających na życie ludzkie, w puszczy nigdy nie brak. Śmierci można tam się spodziewać każdej chwili. Ani pies, ani karabin nie uchronią od niej. Lecz złoto posiada jakiś dziwny magnes, który przyciąga ludzi, nie bacząc na największe niebezpieczeństwo. Na „staratielej", gdy oni przed zimą opuszczają puszczę, wynosząc znaleziony skarb, jak się tutaj mówi, „idą w świat", polują zbóje jak na grubszą zwierzynę. Ten rodzaj „polowania" z zasadzki w miejscowym narzeczu zwał się „gorbaczej strelat'". Szli oni bowiem z tobołami na plecach, pochyleni, jakby garbaci, stąd poszła ta nazwa.

Należało za wszelką cenę ukryć posiadane złoto. W tym celu „staratieli" zaszywali je w wąskie podłużne woreczki, robione ze skóry, które uprzednio sma-

się w nieprawdopodobne formy, niebawem rozwiewały się jak mgła, aby ustąpić miejsca innym, nie mniej dziwacznym myślom i pragnieniom. Było już chyba daleko po północy, gdy jak zjawa, bezszelestnie podeszła do ogniska postać, owinięta w długi ciemny płaszcz i zatrzymała się u mego wezgłowia.

Po chwili schyliła się i położywszy rękę na mym czole cichym głosem rzekła:

— Wiedziałam, bo wyczułam, że pan nie śpi, ja również nie mogłam usnąć.

Poznałem stłumiony głos żony Inżyniera. Prędzej bym się spodziewał nocnej wizyty niedźwiedzia, niż — pięknej paryżanki.

— Źle jest mi tutaj, wśród głuchej puszczy—szeptały jej usta,— mąż zajęty swą pracą, a ja całymi dniami

sama jedna, tylko z moimi myślami. Nie wytrzymam dłużej takiego wygnania. Jestem przecież młoda, pragnę życia innego, chcę żyć pełnią wrażeń, pragnę miłości, której tu nie ma. Nie dla mnie dzika przyroda, nie chcę tej puszczy...

Czułem teraz na mym policzku jej gorący oddech, a mała jej rączka zlekka głaskała moje włosy. Poderwałem się z posłania i przycisnąłem tę rączkę do mych ust. Odpowiedziała długim, namiętnym pocałunkiem zimnych, jak lód, warg, od którego zgasły mi na raz gwiazdy na niebie i noc wydała mi się jeszcze ciemniejszą. Za chwilę, oboje, przytuleni do siebie, szliśmy wgłąb nocnej puszczy, na zew miłości, nadziemskich rozkoszy i nieoczekiwanego szczęścia.

*

Minęło około dwóch lat od tego wydarzenia.

Byłem w Petersburgu. Siedziałem w wielkiej sali — poczekalni jednego z urzędów ministerialnych, w oczekiwaniu audiencji. Było jeszcze zaledwie kilka osób. Ze ścian, udrapowanych materią, spoglądało na mnie surowym spojrzeniem kilku carów naturalnej wielkości, w galowych mundurach suto szytych złotem, ozdobionych orderami i wstęgami. Stali oni nieruchomo w szerokich złocistych ramach, uwieńczonych u góry koronami i regaliami. Parkiety przykrywał wielki, wzorzysty dywan perski, a po bokach ustawione były małe kanapki i foteliki, lakierowane na biało, przybrane złotem.

Naraz podnosi się jeden z panów i krokiem zamaszystym zmierza wprost ku mnie. Podchodzi, wyciąga dłoń i serdecznie mnie wita.

Poznaję w nim mego Francuza z puszczy nad Wiszerą. Francuz nerwowo mówi, żywo gestykuluje, wreszcie wydostaje z bocznej kieszeni mały słoiczek i pokazuje w nim samorodki złota mniejsze i większe, jeden, zauważyłem, wielkości orzecha. Francuz jest wściekły. Narzeka na „nasze" porządki w urzędach, że nie ma z kim mówić, że władze nie zdają sobie sprawy z doniosłości tych odkryć, gdyż dotąd nie może uzyskać koncesji na dobywanie złota.

Rozmowę nam przerywa urzędnik, oświadczając mi, że dygnitarz prosi. Gdy wyszedłem z gabinetu dostojnika, Francuza już nie było.

Nie wiem, czy udało mu się uzyskać koncesję, o którą się ubiegał, czy też nie. Wiem tylko to, że miał śliczną żonę i że od czasu pobytu w puszczy Północy chodził... z rogami. Żałowałem bardzo, że nie mogłem przesłać pięknej paryżance swego pozdrowienia.

B. Zarzycki.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

ODŻYWIANIE ZWIERZYNY PŁOWEJ

(Dokończenie).

Jeżeli chcemy zaprowadzić jelenie w rewirach leśnych, gdzie one dotychczas nie bytowały, to przy kupnie płowej zwierzyny winniśmy być poinformowani w jaki sposób zwierzyna ta się odżywiała. Jelenie, jak to zaznaczyliśmy na wstępie, są nadzwyczaj wrażliwe na staranne odżywianie, jeśli np. były żywione owsem i nie dostaną go w nowym osiedlu, to na pewno zmarnieją. Zapoczątkowanie lub zaprowadzenie nowej generacji może dać dobre rezultaty, jeśli jeleń znajdzie w nowej ostoi zbliżone warunki klimatyczne, oraz podobny żer, względnie dostawać będzie karmę, do której był przyzwyczajony. Dlatego do rozprowadzenia na Kresach Wschodnich najbardziej nadawałyby się jelenie z Pomorza, a mniej ze Śląska, lub z Karpat. Trzeba też mieć na uwadze pociąg jeleni do wędrówek i pewną skłonność do osiedlania się według ich swoistych upodobań. Dla odświeżenia krwi należy sprowadzać nie tylko byki, ale też i łanie, które łatwiej przywykają do nowej ostoi i asymilują się prędzej.

Chcąc zaprowadzić w pewnym terenie jelenie, należy najpierw ulokować je w ogrodzonym zwierzyńcu o obszarze 15—30 mórg; początkowo jednego byka z kilkoma łaniami w różnym wieku. Trzeba jednak mieć na uwadze, że, aby zwierzyna przyzwyczaiła się do siedliska, musi ona mieć, oprócz sztucznej karmy, jeszcze: 1) paromorgowe poletko ze specjalnymi przez nią ulubionymi roślinami, 2) należyty spokój w siedlisku, tj. zwierzyniec musi być zdala od uczęszczanych dróg, 3) musi mieć czystą wodę do picia, oraz osobne bagienko do kąpieli, 4) w siedlisku powinny być paromorgowe gąszcze, aby jelenie mogły ukrywać się od much w czasie upałów i od wielkich mrozów, oraz zimnych wiatrów, 5) powinno być sporo krzaków, lub dawane powinny być gałązki miękkich drzew, aby jelenie miały swój najbardziej ulubiony żer, 6) koniecznie trzeba założyć lizawki soli z gliną, 7) wskazane jest też, aby w ogrodzonym miejscu była dobrze zmeliorowana łąka.

Jeśli chodzi o to, aby mieć w przyszłości dobrą generację, to reproduktor powinien być przynajmniej 5—6 letnim przyszłościowym bykiem, z wyraźnie zarysowaną koroną, aby można było mieć poniekąd pewność, że jego męskie potomstwo przedstawiać będzie materiał, który opłaci się, ze względu na przyszłe wieńce, hodować. Szpiczaków nie warto hodować, jak również jeleni ze sztucznej hodowli, bo z pierwszych nie wiemy co wyrośnie, a drugie zatraciły cechy zwierzyny, nawet ruchy ich zatraciły cały swój powab.

Trzeba koniecznie zrobić wybór odpowiedni. Nie może to być byk wypasiony gdzieś w zwierzyńcu. Nie może to być jakiś degenerat pozbawiony normalnego ukształtowania wieńców i ogólnej wrodzonej jeleniom gracji. Musi to być egzemplarz, który rozwija się w normalnych warunkach bytowania, po którym będziemy mogli się spodziewać ulepszenia miernoty.

Należy dążyć do rozwoju silnej, zdrowej generacji, która wśród jeleni będzie sama zwalczać jednostki słabe i bez przyszłości. Hasłem prawdziwego hodowcy jest jak najdłużej utrzymywać przy życiu byki najsilniejsze, a polować na nie wtedy, kiedy ilość ich stanie się poważna, kiedy silni ojcowie mogą być zastąpieni przez silnych synów. Hodowca w zwierzyńcu winien dawać zwierzynie w odpowiednich sezonach specjalną

karmę, a więc jesienią żołędzie, kasztany; przez wiosnę i pierwszą część lata świeżo skoszone siano; w końcu lata owies, kartofle, buraki, zimą liściarkę, a na przedwiośniu paszę zasobną w fosfór. Sprowadzając kilkanaście sztuk jeleni, należy starać się, aby stosunek byków do łań był jak 1:1, lub 1:2. Byki powinny być w różnej sile tj. jeden mocniejszy, kilka średnich i kilka słabych. Karmisko w ogrodzonym miejscu, gdzie zadaje się paszę, musi być nie jedno, lecz przynajmniej dwa, bowiem silny byk będzie odpędzał słabsze. Kiedy zwierzyna po roku, czy dwóch przyzwyczai się do swojego siedliska, należy ostrożnie, bez hałasu wiosną, gdy łanie rzucą już młode, zdjąć ogrodzenie, najlepiej w miejscu, gdzie płot dotykał poletka poprzednio dobrze obsianego i na które zwierzyna wieczorem zazwyczaj wychodziła. Lizawki powinny w danym zwierzyńcu pozostać i być co roku lub częściej nabijane. Jeśli jelenie wyjdą za ogrodzenie, to ze względu na poletko, lizawki, kąpielisko do których przywykły— będą one powracać do swej pierwotnej siedziby i zaaklimatyzują się zapewne na stałe w danej ostoi. Oczywiście jeden, drugi byk z młodej generacji odpędzony przez głównego reproduktora może wywędrować, ale łanie z młodymi będą pamiętały o tym gąszczu, który zapewniał im schronienie i będą znów wracać do znanej im ostoi. Jelenie w niewielkich zwierzyńcach muszą być karmione w znacznym stopniu gałązkami drzewnymi. Oswajają się naogół łatwo lecz byki stają się z wiekiem złośliwe i niebezpieczne, zwłaszcza dla kobiet.

Jakie ilości jeleni możemy na wolnej stopie hodować w zależności od powierzchni lasu? Odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa, gdyż zależne to jest od dolnych pięter lasu, czyli podszycia. Jeśli las ma podszycie liściaste, posiada drzewa z miękką korą, odpowiednio zmeliorowane łąki, z ich swoistymi krzakami, a zwierzyna znajduje również owoce leśne, to ilość jeleni 20 — 30 sztuk na 1000 ha można uważać za dopuszczalną. Pamiętać jednak należy o żywieniu jeleni w drugiej połowie zimy i dla tego trzeba na ten okres



Młode jelenie

przygotować liściarkę i dobre siano. Lasy natomiast ubogie w podszycie, nie posiadające przecinających je lub okalających zmeliorowanych łąk o trawach tzw. słodkich, posiadające mało drzew liściastych i świerków, mało drzew dających leśne owoce i mało wrzosu, nie nadają się do hodowli jeleni wcale, albo w bardzo ograniczonej ilości. Jeśli chcemy na 1000 ha lasu, na ogół ubogiego w podszycie naturalne, utrzymać stan jeleni w ilości około 10 sztuk, to należy przynajmniej 1 — 2 ha nieużytków leśnych częściowo obsadzić specjalną roślinnością, aby dać to, co jeleniowi jest niezbędne do wegetacji. Te nieużytki leśne są prawie w każdym nadleśnictwie, więc przede wszystkim należy je zużytkować. Są to miejsca po dawnych szkółkach, różne drogi od lat całych nie używane, wreszcie mokre łąki, na których rośnie karłowata brzoza, dająca w ciągu 100 lat przyrost minimalny, nie tworzący nawet tyczkowiny, można by obsadzić wierzbą, rokiciną. Te kilka mórg nieużytków na 1000 ha lasu należy obsiać w ten sposób, aby zwierzyna znalazła na nich paszę na okres miesięcy sierpnia i września, tj. w czasie przedrykowiskowym, kiedy płowy zwierz w okresie



Młode sarny *rys. J Kirylenko*

tzw. krasy, szczególnie byki, tuczy się, aby nabrać siły i wagi podczas rykowiska, oraz na okres zimy i wczesnej wiosny, tak ważnej dla jeleni, jako okres przed rozwojem nowego wieńca. Oczywiście koszt obsiania paru morgów obciąży w pewnej mierze właściciela łowiska, ale stosunek zwierzyny do ostoi będzie zupełnie inny, dzięki też temu pewniejsi będziemy, że zwierzyna utrzyma się na okres rykowiska i nie wywędruje tam, gdzie o nią więcej dbają.

Dając zwierzęciu to, co mu jest potrzebne, przywiążemy je do łowiska, a jeśli będzie ono miało w pewnych ostojach ciszę, spokój, wodę do picia i bagienka do kąpieli, to utrzyma się nawet w stosunkowo niewielkich rewirach. Niestety u nas w stosunku do jeleni, zwłaszcza w Wielkopolsce, postępowano z zupełną nieznajomością elementarnych warunków bytowania tego zwierza. Łań przez wiele lat nie wolno było odstrzeliwać, aby w następstwie wybić je bez wszelkiej miary i bez względu na wiek. To, co ogółowi myśliwych było zabronione i na czym są oparte pewne zasady prawa łowieckiego, stało się w stosunku do jeleni uprawnionym czynem, przekreślającym wszelkie prawa. Stworzone zostały dwie etyki, co może bardzo niekorzystnie odbić się na moralności łowieckiej w wielu okolicach. Stworzone też zostały warunki, skutkiem których jeleń selekcyjny stał się coraz częstszym objawem.

Zjednoczone w karby organizacyjne łowiectwo musi wystąpić przeciw tym dwom etykom i przeciwko tym wszystkim metodom, sprzyjającym zwyrodnieniu największej ozdoby naszych lasów. Jeśli w Karpatach zdarzają się jeszcze jelenie o pięknych wieńcach, acz-

kolwiek od lat kilkunastu sygnalizowany jest spadek jakości, to przyczyną tego są bukowe lasy, oraz podszycie, tj. znaczna ilość pędów i niskorosłych krzewów, które dają jeleniowi paszę najbardziej odpowiadającą jego organizmowi. Wysoka klasa pewnego zwierzostanu może jednak być osiągnięta tylko przy ujednostajnionym postępowaniu znacznej ilości hodowców i myśliwych, dzięki postępowaniu, nacechowanemu pewną metodą hodowli i odstrzału, przy jednoczesnym przestrzeganiu zasady, że lasy górskie, jak i nizinne, winny choć częściowo dla zdrowia przede wszystkim własnego, a także i zwierzyny, zachować swój charakter pierwotny. Musimy pamiętać o tej prawdzie, o czym pisałem na wstępie, że las, to nie tylko drzewa wycinane na opał, budulec, czy inne cele przemysłowe, lecz, że las to również zespół drzew, krzewów, runa, czyli roślin nisko rosnących, oraz specjalnej mikroflory, rozwijającej się w glebie na podłożu ściółki. Myśliwi powinni dbać o to, aby zwierzyna płowa jak najwięcej rozwijała się na swobodzie, bo tylko wtedy jest ona dzikim zwierzem, na którego polowanie daje prawdziwą emocję.

Niestety, jednostronny kierunek hodowli leśnej zaczyna, pomimo groźnych klęsk, jakie spowodował w wielu okolicach i krajach, zapoczątkowywać się i w Karpatach. Staramy się znów poprawić przyrodę, traktując las przez pryzmat rzekomego największego gospodarczego wyzyskania. Trafnie pisze o tym znawca Karpat inż. Wł. Burzyński: „Spostrzegamy, że dotychczas wystarczające warunki naturalne dla podtrzymania poszczególnych gatunków fauny zaczynają zawodzić, a knieja zatraca swój pierwotny charakter. Dzieje się to skutkiem najintensywniejszego usuwania lasu naturalnego z całą jego odżywczą, rozmaitą florą, wzamian za wprowadzoną monotonną kulturę drewna... Naturalna karma coraz bardziej zanika". Warto, aby zwolennicy kierunku hodowli drewna zwiedzili posówkowe tereny w Wielkopolsce, w dawnej puszczy Wroczyńsko-Międzychodzkiej, nadl. Podanin i in., aby się mogli naocznie przekonać do czego prowadzi sztuczna, a nie naturalna hodowla drzew, nie wzorowana na właściwych pierwotnych borach, lecz jednostajna hodowla kultur leśnych, która doprowadziła do strat obliczanych na setki milionów złotych przedwojennych w Wielkopolsce i na Pomorzu, a również na miliardy w Niemczech i we Francji.

Jeśli uznajemy, że naturalne odrosty drzew stanowią tak ważną pozycję w bilansie odżywiania płowej zwierzyny, to należy przedsięwziąć wszelkie możliwe środki, aby tam, gdzie są wartościowe ostoje jeleni, nie było wypasów bydła. W tej sprawie znajdujemy cenną uwagę u Darwina, w dziele p. t. „O powstawaniu gatunków":

„W okolicy Surey, niedaleko od Farnharn, były rozległe wrzosowiska z niewielkimi kępkami starych szkockich sosen na szczytach oddalonych od siebie wzgórz. W ostatnich dziesięciu latach ogrodzono część tych wrzosowisk. Wskutek tego wyrosło na nich tak wiele sosen, że w części ogrodzonej nie wszystkie były w stanie utrzymać się. Liczba ich tym więcej mnie uderzyła, skoro przekonałem się, że młodych drzew ani nie siano, ani nie sadzono. Wchodziłem tedy na kilka wyniosłych punktów, z których mogłem widzieć setki akrów nieogrodzonego wrzosowiska, lecz, za wyjątkiem dawno posadzonych drzew, nie znalazłem ani jednej sosenki. Patrząc jednak między łodygami wrzosów, znalazłem mnóstwo siewek i młodych drzewek, które były bezustannie ogryzane przez bydło. Na jednym kwadratowym jardzie, w odległości kilkuset jardów od grupy starych drzew, naliczyłem 2 małe drzewka, a jedno z nich, mające 26 pierścieni rocznych, przez wiele lat starało się nadaremnie wznieść ponad łodygi wrzosu. Nic też dziwnego, że po ogrodzeniu wrzosowisko porosło silnymi, młodymi drzewami".

Przedstawiliśmy tutaj pogląd nie leśnika i nie myśliwego, lecz znakomitego przyrodnika na rolę, jaką odgrywa w lasach bydło na tak zwanych wypasach. Przytoczę obrazek skreślony przez pisarza Sieroszewskiego, jakże często spotykany w naszych lasach:

„Ten umierający serwitutowy las istotnie przedstawiał rozpaczliwy widok... Cienkie, suchotnicze sosny z obrzedłymi, żółkniejącymi koronami, pozbawione skrupulatnie do szczytów wszelkich gałęzi i sęków, oskrobane nielitościwie z kory, świecące białymi bliznami zaciosów i zdarć, chwiały się, poskrzypując jak chore. Drobne kropelki białej żywicy perliły się wszędzie na ich tułowiach, niby śmiertelny pot. Nigdzie w dole nie widać było śladu podszycia. Ani leszczyny, ani brzózek, ani młodego chojniaka. Tu i tam sterczały jedynie kostropate, kuliste krzewy jałowca, odrzynające się mocno swą barwą żałobną od bladych piachów, sypkich, przesączających się, niby brzydki łupież parchaty spod wyczesanej do cna warstewki leśnej próchnicy. Nikły, wyleniały wrzos porastał je jeszcze tu i tam rdzawymi kępami, a resztki jagodników kryły się lękliwie miejscami we wgłębieniach ziemi. Szara, sucha śmierć wiała z szeregów szeroko rozstawionych drzew, z bladych, milczących głębin boru, ze zbielałej ziemi".

To samo, a może jeszcze w większym stopniu dotyczy lasów liściastych, gdzie bydło jeszcze z większą żarłocznością zżera młode drzewinki i krzaki, uniemożliwiając przez to bytowanie płowej zwierzyny.

Jeśli zatem chodzi o utrzymanie w zdrowym stanie lasów, co wiąże się z zachowanie podszycia i runa, to jest rzeczą nieodzowną skasowanie wszelkich wypasów w lesie, gdzie ma swoje ostoje płowa zwierzyna. Bydło daleko bardziej niszcząco obżera młode porośla, aniżeli robi to sarna czy jeleń, wypasane w lasach, uniemożliwia egzystencję płowego zwierza, który z konieczności idzie za żerem w pola i powoduje szkody.

Jeśli dożywiamy zwierzynę w lasach ubogich w naturalny żer, to należy przestrzegać pewnych zasad dokarmiania, aby ten sposób nie przynosił zwierzynie szkody. Przede wszystkim należy mieć na uwadze, aby nie przekarmiać zwierzyny, bo przez to staje się ona zbyt wygodną i przestaje dbać o wyszukiwanie pożywienia. Jelenie przynajmniej część pożywienia muszą sobie zdobywać same. Karma nie powinna pleśnieć, do czego przyczynia się wilgoć. W tym celu karmę należy osłaniać daszkami, a suchej karmy nie posypywać solą, która na powietrzu przyciąga wilgoć. Zwłaszcza łatwo ulegają pleśnieniu buraki pastewne. Paśniki należy zbudować w miejscach ustronnych, zdala od dróg. Zwierz płowy nie lubi, aby go obserwowano w czasie żerowania. Żłobki i paśniki powinny być obliczone na jedną lub dwie sztuki, aby silne jelenie nie odpędzały słabszych. W ten sposób większa ilość jeleni może jednocześnie się paść, jak to widzimy na fot. nr. 5. Można też dla młodzieży jeleniej zbudować specjalne zagrody, przez które uwieńczony byk nie może przejść, gdyż na to nie pozwala wieniec. Zimą należy starać się o to, aby śnieg przy paśnikach był obmieciony, dzięki czemu zwierz wypadniętą z korytek

karmę może zebrać z ziemi. Bobki zwierzyny powinno się od paśników zgarniać gdzieś na bok i od czasu do czasu wywozić lub zakopywać. Należy bowiem pamiętać, że w odchodach rozmnażają się niektóre złośliwe dla jeleni muchy i przez nieusuwanie tych odchodów ułatwialibyśmy wegetację wrogów płowego zwierza, co zwłaszcza ku ciepłej wiośnie może dać się jeleniom we znaki. O ile zwierzyna pozostawia niezjedzoną marchew lub buraki, to należy zwracać uwagę, aby takowe nie zapleśniały, gdyż pleśń może wywołać zaburzenia żołądkowe. Paszę suchą należy tak umieszczać za drabinkami, aby zwierz przy żerowaniu musiał wyciągać poszczególne źdźbła, gdyż wówczas działanie śliny i trawienie odbywa się normalnie, t. j. tak, jak w czasie żerowania w lesie. Jeśli żłobki umieszczamy przy drabinkach, to winny one leżeć nie wzdłuż drabinek, lecz z boku takowych i w poprzek, aby sucha karma nie była zaśmiecana sianem czy owsianką, wyciąganą spośród szczebli drabinki. Suchą paszę można też zadawać przez umieszczanie snopków na specjalnie wbitych słupkach, w których umieszcza się rozchodzące w różne strony pręty, wycięte z elastycznych gałęzi. Aby znęcić zwierzynę do paśników, dobrze jest umieścić początkowo w nich wiązki jemioły, którą jeśli jeleń raz zakosztuje, będzie stale odwiedzał miejsce, gdzie znalazł ulubiony przez niego przysmak. Karmiąc liściarką, względnie snopkami z owsem, można też wprost przywiązywać snopki do drzewek iglastych, a obżartą z kłosów słomę zabierać, aby nie zaśmiecać lasu.

Autor niemiecki, Dombrowsky, jako dawki codzienne dla jeleni, zaleca na każdego byka — 1 kg owsa, albo też 0,75 kg grochu, wzgl. kukurydzy, 1½ kg kasztanów, 1 kg siana albo suszonych liści; dla łań i młodzieży — 0,5 kg kasztanów i 1½ kg siana. W marcu i kwietniu dla byków 4 kg kasztanów i 1 kg siana, dla łań i ciołków 0,8 kg owsa i 1 kg siana. Oczywiście resztę paszy objętościowej musi zwierzyna zdobywać sobie sama. W czasie bardzo silnych mrozów i głębokich śniegów, nawet w lasach zasobnych w naturalną paszę, należy pamiętać o dożywianiu płowego zwierza i nie skąpić mu karmy, jaka jest w najbliższym gospodarstwie rolnym, mając na uwadze, że jeleń wtenczas potrzebuje na gwałt pożywienia, które by mu dało potrzebną dla krytycznego okresu ilość cieplika. Zaniedbanie w tym czasie płowej zwierzyny może doprowadzić do upadku zwierzostanu, lub do wyemigrowania w ostoje, gdzie więcej o zwierzynę dbają. Jeleń głodny pójdzie też do wsi, aby pożywić się u stogów czy w kopcach, gdzie niechybnie spostrzegą jego odwiedziny i nie ujdzie mu to na sucho. Niedożywianie zwierzyny w okresie zimy może wywołać wspomnianą manię korowania, która, raz nabyta, niełatwo daje się opanować, a może spowodować konieczność zupełnego wybicia jeleni.

Ostatnia Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Berlinie poglądowo udowodniła, jak wysoką wartość łowiecką ma jeleń, jakim kultem jest on powszechnie otaczany. Polska, mająca wszelkie warunki po temu, aby hodowlę jeleni doprowadzić bez wielkich trudów do najwyższej klasy tak jakościowo, jak ilościowo, może w zakresie hodowli jeleni zająć odpowiednie stanowisko i zyskać poważne rzesze zagranicznych myśliwych, którzy na rykowiska zjeżdżać będą do nas, aby zdobyć piękne wieńce. Na wystawie w Berlinie wystąpiliśmy godnie przed forum łowieckim całego świata, ale czy potrafimy godnie ten sukces zdyskontować? Bo nie tylko dyplomy i medale powinny być rezultatem tej wystawy, lecz przede wszystkim zwrot w kierunku racjonalnej i powszechnej hodowli zwierzyny, która jest najbardziej popularną, a następnie uzyskanie wartości gospodarczych przez uprzystępnienie części naszych łowisk turystom zagranicznym, co, jak wiemy na przykładzie Szwajcarii, walnie przyczynić się może do zbogacenia kraju i nawiązania licznych stosunków z międzynarodową rzeszą ludzi o bardzo szerokich zainteresowaniach.

T. Śliwiński.

XAWERY LAWOK.

MYŚLIWSKIE CZWARTKI W OFLAGU

Rok 1940.

Barak jest długi, wąski i ciemny. Ot taki jak wszystkie standartowe, wojskowe baraki w Oflagach i Stalagach. Spiętrzone prycze ciągną się nieskończonym pasmem z obu stron ciasnego ceglanego przejścia, jak gęsto zabudowane domki wzdłuż ulicy. Mrocznym półpiwnicznym, półklasztornym mrokiem snuje się cisza, apatia i zwątpienie. Pachnie potem, kurzem, pleśnią i jeszcze czemś specyficznym, kwaśnym i nieprzyjemnym, czym pachną wszystkie jenieckie budynki.

Jedyne weselsze, jaśniejsze, a nawet czasem słoneczne miejsca tuż koło szerokiego okna i drzwi, po jednej i drugiej stronie baraku, od wschodu i zachodu, zalega zwykle tłumik ludzi w zniszczonych i pozbawionych barwy mundurach i o wyblakłych i zmęczonych oczach. Tłumik czasem ożywiony, częściej milczący, rzadko ruchliwy, a zawsze apatyczny i nade wszystko smutny.

My we trzech, ot jeden z wielu wolniutko kręcących się trybików zespołu „Baracke sieben", jak zwykle okupujemy swój znany i uznany kącik. Kącik ten, noszący nazwę „Zaułka Dobrej Nadziei", położony jest idealnie, niedaleko potężnego pieca i jednocześnie pod samym oknem z małych nierównych, nałożonych jedna na drugą szybek, które przypomina okno inspektowe.

Długonogi Maciek ma nadany przywilej opierania się plecami i wygrzewania o ciepłe zaledwie trzy razy do roku cegły pieca. Ja przedkładam nad wszystko uciekanie oczami przez szyby na dalekie za drutami uprawne pola, to też moje miejsce jest pod oknem. Trzeci z naszej kompanii, January, lubi nade wszystko opowiadać, opowiadać, opowiadać, nie zagrzewa więc nigdzie stołka za długo, ląduje tam gdzie go chcą czy nie chcą słuchać.

Wyższość pieca nad oknem i milczenia nad wspomnieniami lub też naodwrót, są to zasadnicze i kapitalne problemy i zagadnienia w życiu codziennym nas trzech. Tym zresztą ważniejsze i kapitalniejsze, że łącząc i zespalając silnie, nie pozostawiają czasu na ko-



„Próby wiosenne" *rys. K. Tarnowski*

piącą przepaści między jeńcami politykę, lub nagminne, ślimaczące się latami, sprawy honorowe.

Choć tyle miesięcy siedzimy już razem, choć znudził się śmiertelnie bridge, choć wykłady, choćby uniwersyteckie, doprowadzają do szewskiej pasji, choć czytane w kółko jedne i te same książki stały się jałowe, jak angielskie puszki konserwowe, a na piszących grafomańsko-patriotyczne wiersze kolegów-poetów patrzeć już nawet nie można, historyjki Januarego skupiają w naszym „Zaułku" co czwartek chętnych i ciekawych słuchaczy, przeważnie myśliwych, gdyż January, jako wieloletni łowczy jednej z Dyrekcji Lasów Państwowych, specjalnie lubi i umie mówić o włóczędze po kniei i o przygodzie na polowaniach.

Ciekawe i warte zanotowania jest, że my myśliwi, zresztą i poza naszą trójką, trzymaliśmy się w obozie razem i blisko w zżytej i serdecznej kompanii, ciekawe też, że w znaczeniu ogólnym przetrwaliśmy czas próby najlepiej ze wszystkich grup jenieckich, warte też jest zanotowania, że mieliśmy najwięcej inwencji w urządzaniu własnych wystaw, wydawaniu jednodniówek, czy ogłaszaniu konkursów.

Mieliśmy też wspomniane już czwartki myśliwskie.

Czwartek, 22 kwietnia.

Jest wczesny wiosenny wieczór. Słońce zachodzi czerwono. Jutro, jak zwykle, jak co dzień, będzie wiał od Bałtyku wiatr. Oziminy na polach osypane są złotym pyłem. Rozsiadły szeroko, drapieżnie jak pająk, krzyżacki grobowiec świeci na wzgórzu matową miedzią ścian i wieżyc, niczym zardzewiała zbroja. Drewniane ściany sąsiednich baraków w obozie płoną różowym ogniem.

January opowiada.

Blade, wynędzniałe twarze słuchających jeńców wydają się w ostatnich promieniach słońca jakby spalone na brąz, jakby śniade od wichrów i morza, czerstwe, jędrne i zdrowe.

January opowiada.

— Działo się to w nadleśnictwie Rafajłowa w końcu września 1937 roku.

Gdzieś daleko, w dole pod nogami srebrzyście i grzechotliwie szumiały wody Salatruka. Ciemna jeszcze zupełnie, granatowa noc skrzyła się złotem gwiazd i niklem przedrannego szronu. Lasy pnące się po szczytach Micheja i inne, ukryte głęboko w debrach Osławy, były równie przepastne, jednolicie czarne, bez krztyny mgły czy strzępu oparów na zrębach. Pociągał ostry wiatr, jak to zwykle na świtaniu, na ranek szykował się widocznie niezgorszy przymrozek.

Rykowisko zapowiadało się więc jak najlepiej.

Choć jelenie nie odzywają się jeszcze, czas już ruszać do kniei. Wracam zatem do koliby, trącam najprzód drzemiącego lekko hucuła Hrycia, potem budzę gadającego całą noc przez sen leśniczego, a wreszcie zaczynam szarpać za ramię Generała Barcza, który chrapie, jak żubr, jęczy, dmucha i poświstuje.

Po piętnastu minutach stoimy wszyscy przed myśliwską chatynką gotowi do drogi. Na świecie tymczasem zaczyna świtać, zimnieje też coraz bardziej. Zwarzone trawy chrzęszczą pod nogami, uszy leciutko marzną.

W górach pod Horbaczem, pełnym głosem, jakby fanfarą, wita wstający dzień pierwszy ryczący jeleń.

— Mróz!

— Dobry mróz.

Generał wraca jeszcze po ciepłą kamizelkę i zaraz po tym cała ekipa rusza do kniei. Najprzód niknie w mroku szary, nikły, ledwo widoczny Hryć, potem wsiąka w ciemność leśniczy, a wreszcie rozpływa się w szarości przedświtu jeszcze potężniejszy i bardziej

zwalisty niż zwykle w dodatkowych swetrach i kamizelkach Generał. Przez dłuższą chwilę jeszcze słychać kroki, trzeszczenie posuszu i głośne posapywanie Barcza.

Kiedy hałas milknie, przysiadam na chwilę na metrach opałowego drzewa przed kolibą, okręcam się w lodenową pelerynę i zapalam papierosa.

Na wschodniej stronie nieba, za poszarpaną wycinanką górskich szczytów i strzępiastą linią lasów, rozpłomieniają się coraz żywsze, coraz gorętsze barwy seledynu, cynobru i purpury.

Byki zaczynają się teraz nawoływać po zrębach i debrach coraz bardziej gromko i coraz bardziej groźnie. Patrzę i słucham jak urzeczony, choć nie wiem, która to jest zorza oglądana i przeżywana jesienią w sercu karpackiej puszczy.

Zrywa się lekki przedranny wiatr i idzie po drzewach, tłumiąc szmer biegnącej u stóp wody i głosy jeleni. Dzień nadbiega powietrzem coraz szybciej, podpełza lasem coraz bliżej pod nogi same. A kiedy wreszcie ziemia jaśnieje tak wyraźnie, że rozróżnić już można poszczególne źdźbła trawy i kamyki, ruszam i ja na podsłuchy.

*

Z powrotem jestem w kolibie dość późno, mokry do kolan od wiszącej obficie i długo na trawach rosy.

Generał jeszcze nie wrócił. Znajduję za to zupełnie niespodziewanie siedzącego spokojnie przy ognisku Hrycia. Hucuł prymitywnym i przedwiecznym sposobem wsuwa raz po raz słoninę na patyku do ognia i omaszcza kapiącym i skwierczącym tłuszczem kromkę czarnego chleba.

— A gdzie Pan Generał?

— Nie znam. Wypędził mnie „k czortu", jeszcze po szarości i poszedł sam z leśniczym. Będzie z tego bieda.

— A dlaczego was odesłał?

—Ot powiedział Pan Generał tak: „Jeleń bystra sztuka, jego i jednemu za dużo podchodzić, a tu trzech ma szurać nogami po chrustach. Mowy nie ma, jeden niech wraca mi zaraz z powrotem". Leśniczy milczy, tak ja melduję, że odchodzę. Generał mówi: „Dobrze!" No i poszedłem. Ale bieda to z tego napewno będzie.

— Dlaczego?— pytam i jednocześnie robi mi się jakoś nieprzyjemnie.

— Nie wiem, ale będzie — zacina się Hucuł w chłopskim, nieufnym uporze i milknie.

Rozmowa urywa się.

Za przykładem Hrycia zabieram się więc do szykowania sobie porannego posiłku. Nie będę czekał na Barcza. Woda bulgocze w czajniku, czarny świeży chleb pachnie zdrowym kwasem. Dym z ogniska owiewa twarz żywicznym, leśnym oddechem.

Słońce świeci z coraz wyższego piętra, na południowym stoku góry, gdzie pobudowana jest koliba, robi się gorąco. Senne jesienią pszczoły czepiają się ostatnich, różowych kwiatków. Wielki, żółtawy, kropkowany jak pantera motyl przelatuje wałęsającym się lotem nad trawami. Ospałe, rude jelenie muchy łażą po rękach. Jest godzina dwunasta. Upał.

Barcza ciągle nie widać.

Zaczynam się teraz już mocno denerwować. Posyłam raz i drugi Hrycia nad potok wypatrywać, jakby to mogło powrót oczekiwanego Generała przyśpieszyć. Potem sam włażę na pobliskie urwisko i lornetuję po zrębach, połoninach i upłazach. Ale las wokół martwy, cichy, dygocze jak w lipcu za wibrującym od spiekoty powietrzem.

Po godzinie pierwszej poważnie już zaniepokojony, bowiem nawet najdłuższe poszukiwania za postrzałkiem nie usprawiedliwiałyby tak poważnego opóźnienia, pakuję plecak i ruszam do Nadleśnictwa w Rafajłowej.

Po dwóch godzinach ostrego marszu jestem już na miejscu, niestety, nie zastaję w kancelarii ani nadleśniczego Jurkiewicza, ani adiunkta, którzy wyjechali służbowo do Dyrekcji.

O Generale nie ma żadnych wiadomości.

Idą więc w ruch telefony, stawiając na nogi całą straż leśną w Jasieniu, Sołotwinie i Perehińsku, alarmując posterunki policji po gminach i straży granicznej po stanicach. Poczta dostaje polecenie urzędowania bez przerw.

Zawiadamiam też Wojewodę w Stanisławowie, który komunikuje, że natychmiast wyjeżdża osobiście autem do Rafajłowej.

*

Dopiero koło godziny 20-ej wieczorem melduje posterunek straży granicznej z Horodelca, że Generał Barcz, zatrzymany przez patrol rumuński, został przed chwilą z honorami dostarczony na polską wartownię.

— Skąd telefonują, z Horodelca?—pyta Wojewoda— toż to będzie 20 kilometrów z Salatruka.

— Jest co najmniej 30-ci — prostuję. Ale w jaki sposób mógł Generał tak daleko zawędrować i to po opętanej zupełnie drodze?

— Rzeczywiście ciekawe.

Nie mogę ani rusz zrozumieć całej tej historii, bo nie zdarza się przecież, żeby leśniczy zabłądził w znajomym obchodzie, bo wykluczone, żeby minął idąc równolegle do granicy tor wąskotorowej kolejki leśnej.

Czuję coraz wyraźniej, że coś kryje się w tej niezrozumiałej i nieprzyjemnej sprawie.

*

Generał przyjeżdża do Nadleśnictwa drezyną koło północy.

Zazwyczaj głośny, rubaszny, nie dający nikomu dojść do słowa wysoki dygnitarz, jest dzisiaj dziwnie przygaszony, cichy, pół żywy.

Kiedy siadamy do spóźnionej kolacji czuję, że wszystkie gromy wobec nieobecności nadleśniczego spadną zaraz na moją głowę, postanawiam więc pierwszy zaatakować.

— Dlaczego Pan Generał odesłał gajowego? Hucuł nawet i nie miejscowy nigdy by nie zabłądził.

— To pan wie już dokładnie jak to było? — pyta podenerwowanym głosem Barcz.

— Wiemy tyle co opowiadał mi Hryć, no i co meldował kapral z posterunku w Horodelcu.

— No to nic panowie nie wiecie — sapie Generał i łypie złym okiem jakoś szczęśliwie w stronę Wojewody.

— Może jeszcze jajecznicy — podsuwam półmisek Barczowi, widząc, że powoli odzyskuje on werwę i apetyt.

— Nic a nic panowie nie wiecie... Odesłałem więc osacznika i idziemy dalej we dwóch z leśniczym. Pod

Horbaczem odzywa się ten silny, mruczący tylko byk. Widziałem go zresztą przedtem — osiemnastak. Kapitalny! Kiedy zaczynamy jelenia na dobre podchodzić, orientuję się, że mój towarzysz nie bardzo coś wyznaje się w terenie, w polowaniu i w ogóle. No a poza tym im jaśniej się robi, tym mundur pana leśniczego staje się bardziej błyszczący guzami i wyłogami i tym bardziej nerwowe stają się też jego ruchy. Zostawiam więc patałacha czy nowicjusza w wysokim lesie, każę mu czekać, a sam ruszam w podchód. Godzinę całą trwała zabawa z tym mądralą osiemnastakiem w ciuciubabkę, aż wreszcie byk poszedł sobie w zagajniki. Wtedy wracam na brzeg zrębu, odnajduję leśnika, a że słońce było już dosyć wysoko, mówię: „prowadź pan z powrotem do koliby". A leśniczy na to: „Kiedy nie trafię!"— „Co?"—„Nie trafię"—„Leśniczy w swoim rewirze nie trafi, co pan opowiada". A on na to: „Kiedy to nie mój rewir i ja wcale nie żaden leśnik".—„A ktoś ty do cholery jasnej?"—Na to leśniczy wypina pierś, stuka obcasami i ryczy w głos: — „Melduję posłusznie Panu Generałowi starszy przodownik policji śledczej ze Stanisławowa, odkomenderowany do osobistej ochrony pa..." Tak ja go w tym miejscu odrazu w ucho, aż mu czapka z głowy spadła na ziemię i meldunku nie skończył.

Wojewoda robi się czerwony, siny, potem granatowy, ja gryzę wąsy ze śmiechu i znów podsuwam Generałowi patelnię z jajecznicą.

Barcz dobiera kopiastą porcję, a Wojewoda korzystając z tego wtrąca:

— Dawno już chciałem spensjonować wojewódzkiego komendanta P. P. Bo to i niedołęga i ludowiec. Ale cóż, zalecenie z Warszawy, protekcyjki...

— Ale że pan łowczy o tym nie wiedział — mówi do mnie Barcz, nie zwracając żadnej uwagi na słowa stanisławowskiego kacyka.

— Nie wiedziałem. Widocznie było to tajemnicą państwową. Ale dlaczego pan Generał nie strzelał na alarm? Usłyszałbym przecież i poszedł na huk.

— Strzelałem i to nie raz. Ale widocznie echo ginęło po debrach. Zacząłem więc podług swojego nosa prowadzić do koliby, no i zawędrowaliśmy aż na rumuńską granicę. Kiedy już iść dalej nie byłem zupełnie w stanie, natknęliśmy się szczęśliwie na porucznika Gaetanu z patrolem królewskiej straży celnej z Cermatui. Porucznik wiedział już o moim zniknięciu, tak że celebrował eskortowanie mojej osoby aż do biało-czerwonego szlabanu, jak biskupa pod baldachimem na procesji.

Wojewoda śmieje się rozlewnie i głośno z dowcipu Generała, ja milczę.

Barcz przygląda mi się uważnie i pyta po raz drugi:

— A pan napewno nic nie wiedział o tej maskaradzie z przodownikiem?

— Absolutnie nic. Hryć jednak musiał się czegoś domyślać, bo raz po raz powtarzał: — „Będzie bieda", ale nic więcej z niego wydobyć nie mogłem, widać rozkaz o trzymaniu języka za zębami był bardzo ostry.

Kolacja skończona, gospodyni zawiadamia, że dla Generała łóżko jest już posłane.

— Nie, dziękuję. Ruszamy do koliby. Czy Hryć jest?

— Jest.

— A pan gotów? — zwraca się Generał do mnie.

— Tak.

— No to w drogę. Żegnam i dziękuję panie Wojewodo.

— Ale jakże tak nocą, sam.

— Sądzę, że będzie bezpieczniej niż z panem przodownikiem.

Wojewoda milknie i kłania się nisko. Wychodzimy przed dom. Ogarnia nas ciemna i chłodna noc.

Zaraz za Nadleśnictwem droga pnie się do góry, zaczynamy się więc wdrapywać po stromych, żwirowych ścieżkach ku gwiazdom.

Daleko na samym szczycie Micheja ryczy już niecierpliwy jeleń.

*

Cała historia zakończyła się pomyślnie, gdyż tego samego dnia wieczorem Generał strzelił podchodzonego już uprzednio kapitalnego osiemnastaka, który znany był później na wystawach łowieckich.

Hryć dostał po zakończeniu polowania 50 zł, Wojewoda krzyż zasługi, ja zaś fotografię z autografem Barcza.

Jeden jedyny komendant P. P. w Stanisławowie przypłacił swoją karierą przygodę Pana Generała i poszedł na emeryturę.

Ale i tak Wojewoda chciał go przecież spensjonować.

Czwartek, 17 lipca.

Jeżeli chodzi o ilość strzelb i ilość miotów, to nie należało by właściwie nazywać całej tej wyprawy polowaniem. Było nas bowiem poza Nadleśniczym wszystkiego czterech, a miot wzięliśmy tylko jeden i to dopiero podczas drugiego dnia pobytu w kniei. Stało się to z tego powodu, że meldunki o otropieniu wilków przyszły zbyt późno i wczesny grudniowy zmierzch nie pozwolił nam w dniu przyjazdu do Nadprypeckiej puszczy na przepędzenie ofladrowanego ostępu.

To też dopiero następnego ranka stanęliśmy na stanowiskach. Ale zanim obcięto miot po raz wtóry, zanim sprowadzono chorągiewki i zanim ostatni z pięciu osznurowanych drapieżników wytknął na linię, zrobiła się znowu szara godzina i trzeba było wracać do Nadleśnictwa.

Wracaliśmy co prawda w humorach nie najgorszych, albowiem trzy wilki złożyły cierpliwym myśliwym swe futra w ofierze, a poza tym padł niewiadomo skąd zaplątany we fladrach gruby odyniec.

Wynik wyprawy był więc wspaniały, a specjalnie dla mnie, jako łowczego szczęśliwy, gdyż Minister Sprawiedliwości Berezowski, dla którego polowanie to było urządzone, położył wilka i odyńca. Miot zwany „Hotelem", znany dobrze wszystkim myśliwym, którzy mieli okazję brać udział w łowach w Nadleśnictwie Prypeć, raz jeszcze potwierdził swą niezawodność i sławę.

Wieczorem nastrój był więc nienajgorszy, kolacja podana przez panią nadleśniczynę wyśmienita, nalewki Nadleśniczego też, brakowało tylko bridge'a, w którego Minister chciał koniecznie i nieustępliwie zagrać.

Partia zupełnie niespodziewanie rozleciała się, choć sędzia Staś B. przyniósł karty, a Nadleśniczy rozłożył stolik, bowiem nasz najmłodszy towarzysz łowów, adwokat Strojnowski, tłumacząc się mocnym bólem głowy, położył się zaraz po wieczerzy do łóżka.

Niedyspozycję mecenasa łatwo było zresztą wytłumaczyć nie tylko migreną, ale i faktem, że oba spudłowane wilki przeszły przez jego stanowisko.

Najprościej było więc gruchnąć się wszystkim spać, ale Minister, jak to Minister, przyzwyczajony do ukłonów, nadskakiwania i spełniania przez otoczenie wszelkich jego zachcianek bez zwłoki, a poza tym jeszcze nieco podpity, nie mógł się ani rusz pogodzić z brakiem partii. Kiedy więc Staś powrócił od wypoczywającego mecenasa z odmowną odpowiedzią, Berezowski wściekł się i ze zwykłą sobie szorstkością zawołał:

— Niech pan powie Strojnowskiemu, że każę mu się w tej chwili tutaj zameldować!

Staś wzruszył ramionami, ale znając nieopanowany charakter Ministra po kilku kieliszkach alkoholu, zniknął raz jeszcze za drzwiami sypialni. Wrócił szybko i zameldował:

— Panie Ministrze, Strojnowski mówi, że do rozkazu zastosuje się, ale jak będzie pana podwładnym, a obecnie jest członkiem niezależnej palestry. Jeżeli go więc pan Minister wsadzi na dobrą rejenturę, to jako posłuszny urzędnik zaraz siądzie do gry.

— Zwariował — ryknął Berezowski — już ja go wsadzę, ale gdzie indziej.

— Pewno do Brześcia — mruknął do mnie pod nosem Staś, a zaraz potem dodał głośno, — lepiej chodźmy panie Ministrze spać.

Tymczasem Berezowski zreflektował się nieco, zciemniały mu żyły na czole, czerwoność odpłynęła z twarzy.

— Zawcześnie jeszcze na spanie. Zresztą powiedz pan temu idiocie, że zrobię go ostatecznie rejentem, ale na prowincji.

— Dobrze — oczy Stasia błysnęły rozbawieniem. Stuknęły znów zamykane drzwi.

Kiedy poseł wrócił z powrotem do jadalni, chybotały się płomyki ustawionych na stoliku świec, a Berezowski rozdawał już karty.

— Panie Ministrze...

— Co znowu!

— Strojnowski mówi, że układ stoi, ale prosi o nominację na piśmie.

Berezowski potoczył po nas oczami zczerwieniałymi jak u zdecydowanego na atak bawołu, kark zsiniał mu i spęczniał niebezpiecznie, karty poleciały na podłogę. Jednocześnie musiał się jednak zorientować, że w razie wybuchu z partii będą ostateczne nici, bo nie tracąc purpury na twarzy wydobył z kieszeni notes i zaczął postukiwać ołówkiem po stole.

A kiedy wreszcie Nadleśniczy postawił przed nim świeżo nalaną szklaneczkę śliwowicy—Minister wypełnił białą karteczkę kilkoma wierszami pisma i wręczył świstek papieru Stasiowi.

— Proszę mu to oddać.

Była to skierowana na ręce Prezesa Sądu Okręgowego w Radomiu formalna nominacja adwokata Strojnowskiego notariuszem w Opocznie.

Blady, ziewający Mecenas zjawił się w chwilę potem przy stoliku. Karty zaczęły padać z szelestem na zielone sukno.

*

Pan notariusz Strojnowski nie zagrzał zbyt długo miejsca w swej rejentowskiej kancelarii. Na nowe bowiem miejsce pracy do Opoczna przeniósł się dopiero w dniu 21 sierpnia, a 25-go tego miesiąca jechał już w mundurze sapera na wyznaczone miejsce mobilizacji pod Puck.

A co się z nim dalej stało nie wiem... Minister zaś umarł gdzieś na emigracji.

X. Lawok.

EGON RESZKE.

Kilka uwag poświęconych naszym drapieżnikom skrzydlatym

Różnorodność rodzajów i gatunków, skryty tryb życia oraz szybki lot niektórych drapieżników skrzydlatych powoduje, że mała stosunkowo ilość myśliwych może się pochwalić umiejętnością odróżniania poszczególnych rodzajów i gatunków ptaków w locie.

Jedynie myśliwy-przyrodnik, który stykając się z rycerskimi ptakami wśród najrozmaitszych okoliczności, jest w stanie, dzięki bacznym obserwacjom, utrwalić na kliszach swej pamięci szczegóły, które pozwolą mu na rozpoznanie danego ptaka. Mimo to jednak i on napotyka na pewne trudności, jeżeli chodzi o rodzaje w danej okolicy rzadko występujące.

Zapoznanie się tymczasem z cechami charakterystycznymi lotu ptaków drapieżnych, jest koniecznością dla każdego myśliwego, by zmniejszyć zbrodnie dokonane na pożytecznych myszołowach i na myszy polujących pustułkach.

Zważywszy przeto, że nasze drapieżniki skrzydlate dzielimy, poza podziałem na poszczególne rodziny, rodzaje i gatunki, oraz poza podziałem na dzienne i nocne, również na pożyteczne i szkodne, dochodzimy do przekonania, że bezwzględnym obowiązkiem każdego, który poluje z dubeltówką w ręku, jest nauczenie się odróżniania ptaków drapieżnych szkodnych, od pożytecznych, jak i dokładne zapoznanie się z sylwetkami ptaków drapieżnych, nawet szkodnych, lecz ze względu na ich rzadkość, zasługujących na bezwzględną ochronę.

Bo jakże dokonać odstrzału ptaków drapieżnych, które na to zasługują, jeżeli się ich nie zna na tyle, by je rozpoznać w powietrzu. Zaznaczam, że jedynie chodzić może o odstrzał ptaków drapieżnych, nigdy zaś o ich całkowite wytępienie. Na równi z lisem nasze ptaki drapieżne odgrywają w przyrodzie rolę policji sanitarnej, całkowite ich wytępienie pociągnęłoby więc za sobą niewątpliwie ujemne skutki dla rozwoju zwierząt i ptaków użytecznych. Wszystko, co w naszej przyrodzie żyje i oddycha, ma swój cel i ma rację

bytu. Dlatego też skorygowanie wzniosłego dzieła Stwórcy przez wytępienie tego czy owego drapieżnika, który dla tych czy owych pozorów wydaje się nam niepotrzebny, byłoby śmiesznym absurdem. Jakże słuszne w zastosowaniu do danego wypadku są głębokie w swej treści słowa — wszystko do celu dąży na świecie drogą wskazaną przez wieki.

Z przytoczonych powodów należy otaczać ochroną rzadkiego już u nas sokoła wędrownego, najbardziej rycerskiego, ale równocześnie i najgroźniejszego wroga naszych ptaków łownych. Sokół wędrowny jest obok sokoła norweskiego (Hierofalco gyrfalco) najdoskonalszym i najczystszym wyrazem ptaka drapieżnego. Już w średniowieczu nasi przodkowie w pierwszych fazach rozwoju naszego łowiectwa polowali z sokołami i darzyli je specjalnymi względami. Sławę rycerskości zyskał sokół po części tym, że chwyta swoją zdobycz prawie bez wyjątku w locie, nie ruszając siedzącego ptaka. W rzeczy samej powód leży raczej w przystosowaniu jego budowy ciała do chwytania zdobyczy w locie, wstrzymuje się więc od chwytania zwierzyny siedzącej nie ze względów rycerskich, lecz po prostu dlatego, że chwytanie zdobyczy w locie bardziej odpowiada jego budowie anatomicznej.

Miniaturą sokoła wędrownego, jest sokół-kobuz, który poluje na drobne ptactwo i wyrządza nieraz krwawe rzezie wśród naszych śpiewaków. Jeżeli chodzi o zwinność lotu posiada on te same walory co jego większy kuzyn, sokół wędrowny.

Pamiętam pewną przygodę z sokołem-kobuzem, która wywarła na mnie głębokie wrażenie. Pewnego dnia krótko przed zachodem słońca, daleko od brzegu, wolno poruszałem łódką po tafli wód wielkiego jeziora, niezmąconego najmniejszym wietrzykiem. W modrej toni wód, jak w lustrze odbijały się woltyżerki jaskółek, krzyżujących nade mną wieczorne powietrze w gonitwie za komarami. Raptem zauważyłem gwałtowny niepokój wśród spokojnych jaskółek i odruchowo spojrzałem w górę. Z odległości jeszcze kilkuset metrów lotem niesłychanie szybkim zbliżał się mały ptak drapieżny w kierunku do latającej nad moją głową jaskółki. Po długich, wąskich skrzydłach i nerwowych, impulsywnych ich uderzeniach, poznałem w tej chwili sokoła-kobuza. Jaskółka znajdująca się nade mną wydała przeraźliwy okrzyk i zdwoiła szybkość, jednak biedaczka nie zdążyła się jeszcze rozpędzić, a już cień śmiercionośny znalazł się tuż nad nią. Całym nakładem swych sił kluczyła tak szybko, że nie byłem w stanie policzyć częstości zmian w kierunku jej lotu, to w górę, to w bok, to w dół, a w ostatniej chwili przekoziołkowała się, uciekając pod prążkowanym brzuchem napastnika. Daremnie. Nie zdążyłem ochłonąć z pierwszego wrażenia, już ostre szpony małego kobuza wpiły się w ciało biednej ptaszyny, którą uniósł z sobą jak piórko, ginąc w krwawych promieniach zachodzącego słońca.

Najlepszym miernikiem szybkości, z jaką ta scena tragiczna się odbyła, był fakt, że człowiek, rybak z zawodu, który się ze mną razem na łodzi znajdował, nic z całego tego wydarzenia nie zauważył. Całość trwała zaledwie kilka sekund i była tak oszałamiająca, że wydała mi się senną marą. Tylko nieobecność jaskółek lawirujących przed chwilą nade mną potwierdziła prawdziwość wydarzenia.

Jeżeli chodzi o odróżnianie ptaków drapieżnych w locie, to najważniejszym czynnikiem umożliwiającym ich rozpoznanie jest utrwalenie sobie w pamięci sylwet, a następnie porównywanie ich do ptaków spotykanych w praktyce. Bardzo cennym materiałem są sylwety podane w numerze 5-ym „Łowca Polskiego" z roku 1946 przez prof. J. Gieysztora. W imieniu początkujących myśliwych, chętnych do dokładnego zapoznania się z gatunkami ptaków drapieżnych, proszę redakcję „Łowca Polskiego" o podanie sylwet takich w szerszym zakresie, i to najlepiej z podziałem na ptaki drapieżne, szkodne i pożyteczne oraz z uwagą, czy dany ptak posiada lot szybki lub umiarkowany (wolny, wiosłujący). Doniosłą korzyść przyniosłoby też drukowanie obrazów wszystkich ptaków drapieżnych, z dobrych, naturze odpowiadających oryginałów, możliwie w kolorach.

Pamiętam, że przed ostatnią wojną, kiedy nadleśnictwa były upoważnione do wypłacania premij za nogi gołębiarza i krogulca, b. często przedkładano nogi myszołowa i pustułki. Gdzie mogłem zapobiegałem wypłacaniu niesłusznych premii, godzących w moralność naszego łowiectwa. Nie mniej jednak pewny jestem, że w wielu wypadkach wypłacano premie za ubite myszołowy i pustułki, a to nie z chęci zysku, tylko z prostego braku uświadomienia. Dlatego też w przyszłości, o ile kiedykolwiek będzie się płaciło podobne premie, to do wypłacania tychże upoważniać się winno tylko osoby specjalnie wykwalifikowane, gdyż rozpoznanie gołębiarza czy krogulca tylko po nogach jest rzeczą znacznie trudniejszą, aniżeli rozpoznanie całego ptaka.



Jastrząb gołębiarz

Do rzędu ptaków drapieżnych dziennych należą: orły, sokoły, jastrzębie, kanie, myszołowy, błotniaki. Wymienione rodzaje ptaków drapieżnych stanowią rodzinę sokołowatych, (Falconidae) i możemy je podzielić na:

1) posiadające lot szybki, krótkie, impulsywne uderzenie skrzydeł (sokoły, jastrzębie),
2) posiadające lot umiarkowany lub wolny (przypominający wiosłowanie).

I. **Grupa pierwsza, szybkolotne.**

Sokoły, odznaczają się charakterystycznym zębem w górnej połowie dzioba i odpowiednim wgłębieniem w dolnej połowie dzioba oraz wąskimi, długimi, spiczasto zakończonymi skrzydłami. Nogi krótkie, silne, szpony długie i bardzo ostre. Jeżeli chodzi o rozmieszczenie geograficzne, najbardziej rozpowszechnionym jest sokół wędrowny, który w różnych odmianach występuje we wszystkich częściach świata, jedynie na dalekiej Północy zastąpiony jest przez sokoła norweskiego, czyli białozora. Wszystkie sokoły należy zasadniczo ochraniać ze względu na ich rzadkie występowanie. Występującą u nas często pustułkę, wybitnie pożyteczną, łatwo poznamy na bliższą odległość po rdzawo-bronzowym kolorze na grzbiecie. Poza tym zatrzymuje się ona chętnie w powietrzu, bijąc skrzydłami w miejscu i wypatrując myszy. Ta charakterystyczna jej poza w powietrzu, jest łatwym znakiem rozpoznawczym i ostrzeżeniem, że nie należy do niej strzelać.

Sokoły szkodne: sokół norweski, białozór (Hierofalco gyrfalco), sokół raróg (Hierofalco sacer), sokół wędrowny (Falco peregrinus), sokół kobuz (Falco subbuteo), sokół drzemlik (Falco regulus).

Sokoły pożyteczne: pustułka (Cerchneis tinnuncula), pustułeczka (Cerchneis naumanni), sokolik rdzawonogi czyli kobczyk (Cerchneis vespertina).

Jastrzębie.

Odznaczają się długim w stosunku do ciała ogonem, krótkimi stosunkowo skrzydłami. Ubitego jastrzębia łatwo poznamy po długich, silnych nogach i długich, bardzo ostrych szponach, oraz po falistej, dolnej krawędzi górnej części dzioba, która wykazuje jakby zanik zęba widocznego u sokoła.

Istnieją dwa gatunki: jastrząb gołębiarz (Astur palumbarius) i jego miniatura, krogulec (Accipiter nisus). Są wielkimi szkodnikami.

II. **Grupa druga, wiosłująca, lot wolny.**

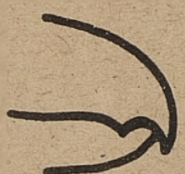
Orły — poznać można w locie łatwo po palcowato rozpostartych końcach lotek. Budowa ciała silna, z wydłużoną, małą stosunkowo głową i bardzo mocnym dziobem.

Kanie — rozpoznamy po wyjątkowo długich i szerokich skrzydłach, spiczasto zakończonych, kanię rdzawą poza tym po wyraźnie widłowatym ogonie. Nogi słabe i krótkie, z przodu do połowy upierzone, szpony krótkie, ostre.

Myszołowy — cecha charakterystyczna—krótki ogon, długie, szerokie skrzydła. Nogi słabe, średniej długości, szpony krótkie. Znacznie większy od pustułki, poluje często w ten sam sposób na myszy, zatrzymując się w powietrzu w miejscu, bijąc skrzydłami. Krążącego nieraz bardzo wysoko w powietrzu prawie bez ruchu skrzydeł, poznać można myszołowa po kwileniu podobnym do miauczenia kotów. Mistrzem w naśladowaniu jego głosu jest sójka.

Oprócz myszołowa zwyczajnego, spotyka się u nas myszołowa północnego (włochatego). Nogi całkowicie upierzone.

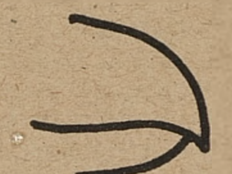
Błotniaki — są jakby przejściem pomiędzy drapieżnikami dziennymi a nocnymi, posiadają szlarę dookoła oczu, jak sowy, jednak mniej wyraźną. Skrzydła i ogon w stosunku do ciała wyjątkowo długie, poruszają się jakby lotem mewy. Nogi cienkie, długie, szpony krótkie, slabo zagięte.



Dziób Sokoła



Dziób Jastrzębia



Dziób Myszołowa

Na uwagę zasługuje okliczność, że upierzenie młodego ptaka, szczególnie u sokoła wędrownego i gołębiarza, różni się tak skrajnie od upierzenia starego ptaka, że często niewtajemniczony nie uwierzy, widząc obok siebie młody i stary okaz, że to jeden i ten sam gatunek ptaka. U młodego gołębiarza przeważa barwa żółta z ciemno brunatnymi prążkami pod brzuchem. Dopiero w trzecim roku życia zmienia suknię na białawo szarą pod brzuchem z poprzecznymi, czarnymi prążkami. Podobnie przedstawia się sprawa u sokoła wędrownego. Samiec jest u ptaków drapieżnych zawsze mniejszy, a często znacznie mniejszy od samicy.

Myszołowy posiadają z reguły całkowicie różne ubarwienie, począwszy od prawie zupełnie żółtawo-białych, skończywszy na całkowicie ciemno-brunatnych. Toteż łatwo można się pomylić, określając ptaka według upierzenia. Nigdy zaś nie można się pomylić, szukając podanych wyżej cech charakterystycznych w dziobie, nogach i ogonie danego ptaka. Wyraźny ząb w górnej części dzioba daje nam niechybną gwarancję, że mamy przed sobą sokoła, małe, faliste wypuklenie w tym miejscu upewni nas, że chodzi zależnie od wielkości ptaka, o gołębiarza lub krogulca.

Ptak o wolnych ruchach skrzydeł z krótkim ogonem i długimi, szerokimi skrzydłami nigdy nie będzie ani sokołem, ani gołębiarzem. Są to cechy rozpoznawcze nieomylne, które w przeciwieństwie do upierzenia, nigdy nie ulegają zmianie. W upierzeniu natomiast znajdziemy nie tylko zależnie od wieku, ale i zależnie od szerokości geograficznej, poważne nieraz odchylenie u ptaków tego samego gatunku.

Reasumując wszystkie podane przykłady i szczegóły, dojdziemy do przekonania, że przy dobrych chęciach nie tak trudno będzie zapobiegać niewłaściwemu odstrzałowi ptaków drapieżnych pożytecznych. Wszystkie bowiem ptaki drapieżne, które wiosłują wolno w powietrzu, zasługują bądź to ze względu na swą pożyteczność, bądź to ze względu na swą rzadkość, raczej na ochronę, aniżeli na odstrzał. Wyjątek stanowią błotniaki, które łatwo poznamy w locie po wyjątkowo dłu-

gim ogonie. Ostrożnie więc przede wszystkim ze strzałami do ptaka drapieżnego o ruchach wolnych, ociężałych, z krótkim ogonem, gdyż będzie to w większości wypadków myszołów, zasługujący na bezwzględną ochronę.

Z ptaków szybkolotnych znamy tylko dwa rodzaje, sokoły i jastrzębie. Zasługującego na odstrzał gołębiarza oraz mniejszego znacznie krogulca łatwo odróżnimy od sokołów po uderzającej różnicy w budowie skrzydeł. (Patrz sylwety podane w nr. 5-ym „Łowca Polskiego", 1946 r.).

Wszelkie ptaki drapieżne nocne (sowy) należy otaczać ochroną ze względu na ich wybitną pożyteczność. Jedyny szkodny puchacz chroniony jest ustawą łowiecką przed wyginięciem.

Jeżeli jednak mimo wszystko, czy to przez nieuwagę, czy to nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, ubito ptaka drapieżnego podlegającego ochronie, należy go oddać bądź to najbliższemu preparatorowi, bądź to przesłać najbliższej wyższej uczelni, dla której będzie on cennym materiałem naukowym dla kształcącej się młodzieży.

Egon Reszke
leśniczy.



Zawodne zaloty *rys. J. Dylewski*

ZAPOLSKI-DOWNAR HENRYK.

JAK POLOWALI NASI OJCOWIE

Czas, którego sięga opowiadanie, to ostatnie lata zeszłego stulecia. Byłem wówczas jeszcze małym chłopcem. Ojciec mój dzierżawił majątek R. na południe od Mińska Lit., jak się to miasto w owym czasie nazywało. W sąsiedztwie naszym mieszkali między innymi Sz. — człowiek starszy, żonaty i Ch. — kawaler w wieku przedpoborowym.

Zapowiedziano polowanie na niedźwiedzia w Sk.

Oczekując na to polowanie, ojciec musiał jednak wyjechać w swych sprawach na kilka dni do miasta. Przed wyjazdem prosił matkę moją o zadepeszowanie mu, gdyby polowanie miało odbyć się w tym czasie. Tak się też złożyło, lecz matka w obawie o ojca depeszy nie wysłała i ojciec na polowanie spóźnił się. Natomiast sąsiedzi Sz. i Ch. wzięli w nim udział, a później, odwiedzając nas, opowiadali o przebiegu, czemu przysłuchiwałem się z zapartym oddechem. Widocznie żyłka myśliwska już wówczas we mnie tkwiła.

Był początek zimy i lekki przymrozek. Polowano obławą. Myśliwi zajęli stanowiska wzdłuż strumyka leśnego przebiegającego za nimi. Strumyk pokrywała cienka powłoka lodu.

Dano sygnał. Obławnicy ruszyli z krzykiem i hałasem.

Po chwili podniecającego oczekiwania sąsiad Ch. zobaczył wychodzącego z leśnego gąszczu niedźwiedzia. Dopuściwszy na stosowną odległość, strzelił. Trafiony niedźwiedź, rozwścieczony zadanym bólem, przystanął i począł łamać najbliższą brzózkę. Widząc to, Ch. zbliżył się na odległość pewniejszego strzału z drugiej lu-

fy swej „kapiszonówki". Wycelował i... wypalił tylko „kapiszon". Wybierając się bowiem na polowanie, zmienił Ch. w nabitej od dłuższego czasu dubeltówce tylko śrut na kule, a pozostawiony proch, jak się okazało, zwilgotniał i nie zapalił się.

Trzask „kapiszona" zwrócił uwagę niedźwiedzia na Ch. Pozostawiając brzózkę, skoczył ku niefortunnemu strzelcowi. Ten rzucił się do ucieczki. Niedźwiedź za nim. Usiłując pochwycić, oberwał łapami boki kożucha i marynarki, jakie miał na sobie myśliwy i zranił mu z tyłu głowę. Od tego zranienia, mówiąc nawiasem, powstała z czasem blizna, która przy poparciu gotówką stała się powodem zwolnienia od poboru do wojska. Drogę ucieczki myśliwego przegradzał wspomniany strumyk, do którego też wpadł nie namyślając się i załamując pod sobą lód. Miś, nie lubiący widocznie zimnej wody, pozostawił myśliwego i ruszył wzdłuż strumyka i stanowisk myśliwych.

Rozpoczęła się strzelanina na dobre. Niedźwiedź, trafiony jeszcze kilkakroć, wyszedł na zabiegającego mu drogę ostatniego myśliwego, sąsiada Sz., a zoczywszy, ruszył do ataku, rycząc groźnie i wznosząc się na tylnych łapach. Sz. strzelił dwukrotnie, lecz nie powalił na miejscu zwierza, który dopadł go, obalił pod siebie i począł gryźć w głowę, zdzierając z niej powłokę skórną i omal nie sklepienie czaszki. Ratując się, myśliwy odruchowo zakrył głowę rękami. Niedźwiedź ugryzł w rękę, ciężko ją kalecząc. W ostatniej chwili pośpieszył na ratunek gajowy i celnym strzałem dobił zwierza.

Spod trupa niedźwiedzia wydobyto nieprzytomnego myśliwego.

Tak się zakończyły łowy, całkowicie usprawiedliwiając obawy mej matki i niezawiadomienie ojca o polowaniu. Sąsiad zaś Sz. jeszcze długo po nich leczył po operacji swą oskalpowaną głowę i skaleczoną rękę.

H. Zapolski-Downar.

KAZIMIERZ ŚWIDERSKI.

Zające, sady owocowe i Komisja Specjalna

Redakcja „Hasła Ogrodniczo-Rolniczego" w Tarnowie, zwróciła się z apelem do wszystkich Czytelników swego pisma o nadesłanie krótkich wypowiedzi na temat: „czy zające winno się wydzielić spod ochrony, czy też nie". Wynik głosowania ma być następnie ogłoszony w jednym z zeszytów wspomnianego pisma.

Czy taki „plebiscyt" może rozstrzygnąć sprawę? Na pewno nie. Spodziewane odpowiedzi, o ile mają być krótkie, ograniczą się w rezultacie do „tak" lub „nie", tym samym więc będą pozbawione koniecznej, głębszej analizy zagadnienia. Poza tym, jako pochodzące tylko od Czytelników „Hasła Ogrodniczo-Rolniczego", będą zawierały wszystkie cechy jednostronności.

Oświetlić zagadnienie poruszone należało by możliwie wszechstronnie. Do wypowiedzi mają prawo: Rada Ochrony Przyrody, Przedstawiciele Sadownictwa i Przedstawiciele Łowiectwa. Wszystkie trzy grupy zainteresowane potrafią niewątpliwie wyłonić komitet, który rozpatrzy spory, ustali poglądy, uzgodni różnice zdań i okaże się w końcu, jak to już nieraz zdarzało się, że „prawda leży pośrodku".

*

Jako zwolennik sadownictwa i łowiectwa zarazem, spróbuję nakreślić, jakie na mnie zrobiły wrażenie dotychczasowe wypowiedzi na ten temat.

Zacznę od poglądów tego, kto „wsadził kij w mrowisko", t. j. Pana Redaktora Antoniego Gładysza, znanego i uznanego w całej Polsce autora prac z dziedziny sadownictwa. Artykuł tego wybitnego znawcy przedmiotu, p. t. „Ochrona sadów przed zimą"*), wywołał niezbyt szczęśliwą reakcję ze strony Tarnowskiego Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego, jak czytamy o tym w późniejszym artykule tegoż autora („Hasło Ogrodniczo-Rolnicze", Nr. 3—4, marzec—kwiecień, 1948 r.).

Co zawierał ów pierwszy artykuł? Oto, cały szereg wskazówek, jak należy m. inn. chronić sad przed zającami, przy czem przeważająca ilość pouczeń podkreślała przeważnie **złe skutki** zaniedbań w tej mierze ze strony właścicieli sadów, w kierunku stosowania licznych, oddawna znanych i ustawicznie przypominanych zabiegów. Zaniedbania te opisane są w tekście, a ponadto ilustrowane. Jest ich cały szereg. Proponuje również p. Antoni Gładysz zabieg profilaktyczny, mianowicie, odwrócenie uwagi zajęcy od drzewek owocowych, drogą zastawienia dla nich stołu ubocznego, przez rozrzucanie w pobliżu sadu gałązek drzew lub krzewów, chętnie przez zające zjadanych. Po prostu wstydzić by się należało, że istniejące od tylu lat sadownictwo polskie wymaga stałego powtarzania tak elementarnych zasad.

W końcu wywodów swych o szkodnictwie, przyczynianym przez zające, szanowny autor dodaje: „Praktykują też niektórzy sadownicy odstraszanie zajęcy przez zakładanie pułapek". (Zaznaczyć tu należy, że pułapka (wnyk) nie może być środkiem do odstraszania zajęcy. Zając, schwytany we wnyk, przeżywa krócej lub dłużej — zazwyczaj dłużej — uczucie śmiertelnego przerażenia, poczem ginie. Nie odstrasza to żadnego następnego zająca, nawet gdy ujrzy swego pobratymca, tkwiącego we wnyku. Za chwilę spotkać go może ten sam los, w zależności od liczby zastawionych wnyków).

Dwa, poniżej artykułu umieszczone rysunki, ilustrują tę teorię. Ilustracja pierwsza nie obraża jeszcze uczuć myśliwych, ponieważ przedstawia zająca, przedostającego się do sadu przez „dziurę w płocie", spowodowaną przez oderwanie się listwy pionowej od belki poprzecznej płotu, co stanowi znowu zaniedbanie właściciela sadu, pozostawiającego płot w takim stanie na zimę.

Ilustracja druga jest już nieco prowokacyjna. Właściciel sadu, zamiast przybić oderwaną listwę do belki poprzecznej (nikt chyba nie posądzi szanownego autora, ażeby doradzał odbicie listwy w ogrodzeniu, by umożliwić w ten sposób założenie wnyka), zakłada, według określenia p. Antoniego Gładysza, „pułapkę".

* („Hasło Ogrodniczo-Rolnicze, grudzień, 1946 r.).

będącą w rozumieniu myśliwych dobrze znanym, znienawidzonym przez hodowców zwierzyny, wnykiem. Wnykiem, za posługiwanie się którym Ustawa Łowiecka przewiduje, jak wiadomo, wysokie kary.

W tym miejscu pomyślałem sobie: pan redaktor Gładysz pobłądził, widocznie nie jest myśliwym, a jeżeli nawet i jest, to sadownictwo może być sercu jego bliższe, niż łowiectwo. Ustawienia w tej kolejności uczuć ganić nie można, przeciwnie, trzeba je uszanować.

Ponieważ jednak, p. redaktor Gładysz nie był w porządku w stosunku do wyraźnej litery prawa, ogół myśliwski mógł i powinien był, ujmując zagadnienie rzeczowo, oraz uwzględniając zarówno przytoczone powyżej przypuszczenia, jak stanowisko społeczne p. Antoniego Gładysza, zwrócić się doń z prośbą o umieszczenie w najbliższym numerze „H. O.-R." odpowiedniego sprostowania. Tak załatwiają się spory i tworzą się ugody w każdym poważnym środowisku.

Tymczasem, jak wynika z artykułu p. redaktora Gładysza p. t. „Szkody, spowodowane przez zające, w protokółach Komisji Specjalnej" („Hasło Ogrodniczo-Rolnicze", marzec — kwiecień, 1948 r., Nr. 3 — 4), Tarnowski Oddział Polskiego Związku Łowieckiego zarzucił p. Antoniemu Gładyszowi „szerzenie zasad niehumanitarnych" i na tym poprzestał, nie doprowadzając ani do zapowiedzianej rozprawy sądowej, jak twierdzi p. redaktor Gładysz, ani nie wpadłszy na pomysł próby osiągnięcia rozsądnego kompromisu.

I, nie wiadomo, co na tym więcej ucierpiało, czy uświadomienie właścicieli sadów, czy zające przez wyłapywanie tych ostatnich „pułapkami", opisanymi przez p. Gładysza.

W każdym razie ucierpiała opinia zajęcy.

Jak wynika, bowiem, z przytoczonej przez p. Antoniego Gładysza interwencji Powiatowego Związku Ogrodniczego w Busku-Zdroju, upadek sadownictwa polskiego jest już niemal „za drzwiami". Kto temu winien? Zające. Przeczytajmy:

> „Sad dwunastoletni, który zaczyna dawać coraz większe dochody, cieszy i wzbogaca rolnika, zostaje zniszczony przez szkodniki i rolnik odrazu zostaje biedakiem, bo zające spowodowały klęskę, zniszczyły ten stały dochód i gospodarka od tej chwili pójdzie deficytowo i to przez trzydzieści lat".

Czy wolno zapytać, co się działo w ciągu poprzedzających katastrofalny rok jedenastu lat? Dlaczego zające zniszczyły sad dopiero w roku dwunastym? Czy w okolicy owego dwunastoletniego sadu nie było przez lat jedenaście ani jednego zająca? Czy, może, przez lat jedenaście drzewka były należycie zabezpieczane?

Pytanie drugie, mniej już dotyczące zajęcy, ale, gdy chodzi o stosowanie argumentów, jednak interesujące. Dlaczego deficytowość gospodarki, po zniszczeniu sadu przez zające, ma trwać aż trzydzieści lat? Czy to jest szczególny „przywilej" dla gospodarstw, w których sady zniszczone zostały przez zające? Bo gdy sad bywa zniszczony dzięki ostrej zimie, to odbudowa jakimś cudem następuje o wiele szybciej. Powtarzające się w naszym kraju plus minus co lat dziesięć srogie zimy zastają za każdym razem nowe ofiary w postaci odbudowanych (czy zawsze właściwie?) sadów owocowych.

Z kolei słów parę na temat ubezpieczenia sadów.

Można sobie wyobrazić, jak by wyglądała ochrona sadów przy zastosowaniu ubezpieczenia tychże od szkód wyrządzanych przez zające, na koszt myśliwych, jak to proponuje w swej interpelacji Powiatowy Związek Ogrodniczy w Busku-Zdroju. Nie chodzi mi w tym wypadku o kieszeń myśliwych, ale przypuśćmy na chwilę, że podobny projekt wszedł w życie.

Twórcy pomysłu nie zdają sobie najwidoczniej sprawy, że system taki obróciłby się przede wszystkim przeciw nim samym. Mianowicie rygory wynikające z umów ubezpieczeniowych przewidywałyby napewno skrupulatny obowiązek dokonywania wszelkich zabiegów, obecnie zaniedbywanych, które by uniemożliwiały zającom niszczenie sadów. Najmniejsze przeoczenie w tym kierunku spowodowałoby ze strony zakładu ubezpieczeń odmowę powetowania szkód. Czyli że w ostatecznym rezultacie zadanie sprowadzałoby się znowu do zabezpieczenia sadów, tylko tym razem już z przymusu i kosztem prawdopodobnie większym, gdyż zakład ubezpieczeń nie zgodziłby się na wykonanie zabezpieczenia byle jak, natomiast żądałby pełnowartościowej ochrony.

Cóż więc pozostaje, ażeby rozwiązać palące zagadnienie, zawrzeć pokój z myśliwymi i zającami, oraz cieszyć się wyglądem dobrze prosperującego sadu?

Rzetelne ustosunkowanie się do obowiązku ochrony sadów od zajęcy we własnym zakresie, bez ubezpieczenia, czy to na cudzy, czy własny koszt, będzie niewątpliwie receptą najlepszą.

Zajmijmy się teraz tematem, co reprezentują sadownicy polscy w znaczeniu wiedzy i fachowości:

Od roku 1920, jako amator kwiaciarstwa i sadownictwa, prenumeruję polskie pisma ogrodnicze. Przekonuję się z tych pism, że:

Sadownicy polscy popełniają naogół mnóstwo błędów, zupełnie zasadniczych. Nie umieją wybrać miejsca pod sad, zarówno pod względem glebowym, jak i wystawy. Źle stosują dobory drzew owocowych w stosunku do poszczególnych dzielnic. Mało rozumieją się na racjonalnym nawożeniu sadów, a jeszcze mniej stosują nawożenie. Słabe mają pojęcie o prowadzeniu koron drzewek młodych i prześwietlaniu starszych. Uprawiają pomiędzy drzewami owocowymi rośliny zbożowe. Walka chemiczna ze szkodnikami drzew owocowych jest w powijakach. Prawdziwy pionier, stosujący u siebie opryskiwanie drzew, nie ma z tej pracy i związanych z nią nakładów żadnych korzyści, bowiem dwaj sąsiedzi obok nie prowadzą walki chemicznej w swoich sadach. Nie umieją sadownicy polscy wreszcie owoców przechowywać, wskutek czego olbrzymie ilości ton owoców marnują się, zwłaszcza w latach wysokich urodzajów. I t. d., i t. d.

Sadownicy, stanowiący wyjątki w tym względzie, są na łamach pism ogrodniczych wyróżniani w specjalnych, dość rzadkich zresztą, artykułach, a ich sady i oni sami fotografowani.

Oto są wrażenia, które pozostają po przeczytaniu, na przestrzeni blisko lat trzydziestu, wielu artykułów na ten temat w prasie ogrodniczej.

Nic zatem dziwnego, że o potrzebie ochrony sadów przed zającami sadownicy polscy również mają słabe pojęcie, lub lekceważą sobie to zagadnienie.

Owszem, zając bywa też winien. Można by na ten temat porozmawiać. Trudno jest uchronić się od wszelkiego ryzyka, które życie przysparza. Człowiek nieraz łamie rękę lub nogę, poślizgnąwszy się, jak to mówią, na gładkiej drodze. Niespodziewana wichura spowodu-

je nieraz złamanie cennego drzewa owocowego. Podobnie i zając przedostanie się jakimś jemu tylko wiadomym sposobem do sadu i uczyni szkodę. Ale podobnie jak pozostawiony niepotrzebnie na widoku złoty zegarek czyni z człowieka złodzieja — zaniedbana dziura w płocie stwarza z zająca szkodnika. Zając jest tworem przyrody, odgrywającym rolę dodatnią w ogólnej gospodarce narodowej i tym samym zasługuje, by o niego dbać wszelkimi sposobami. Sądzę, że Naczelna Rada Łowiecka Polskiego Związku Łowieckiego potrafi odpowiednio to umotywować.

W sprawie poruszanej winę ponosi przede wszystkim człowiek. Udowodnić ten pogląd jest łatwo. W artykule swym przytacza p. Antoni Gładysz protokół Krakowskiej Delegatury Komisji Specjalnej, orzekający decyzję Komisji wystąpienia z wnioskiem o skierowanie dwóch funkcjonariuszów Uniwersytetu Ludowego w Racławicach do obozu pracy przymusowej za zaniedbanie zabezpieczenia sadów uniwersyteckich. Wskutek tego zaniedbania zające zniszczyły 300 pięcioletnich drzewek owocowych. Czy to jest wyrok, osądzający zające, czy człowieka?

Taki sam wyrok pożytecznie było by zastosować do właścicieli sadów prywatnych, gdyż każdy sad prywatny stanowi również cząstkę bogactwa narodowego, a wszelkie marnotrawstwo zasługuje na potępienie.

W interpelacji Powiatowego Związku Ogrodniczego w Busku-Zdroju czytamy, że: „zniszczenie w powiecie stopnickim przez zające w sadach wynosi 35%, w szkółkach 80%.

Delegatura Komisji Specjalnej powiatu stopnickiego ma wdzięczne pole do działania.

Doskonały artykuł redaktora Antoniego Gładysza („Ochrona sadów przed zimą”), okazał się raz jeszcze „głosem wołającego na puszczy”. Wyżej przytoczona statystyka szkód, spowodowanych przez zające, jest tego jaskrawym i nie mniej smutnym dowodem.

Kazimierz Świderski.

Szczawno-Zdrój, Śl./D.
luty, 1948 r.



I.

„POMORSKI BIULETYN ŁOWIECKI” Nr. 4, 1 marca 1948 r. Toruń, str. 24.

Ukazał się kolejny 4-y numer jedynego czasopisma łowieckiego, wydawanego przez organizację terenową P. Z. Ł. Acz drukowany na powielaczu sposobem ręcznym Biuletyn ma wygląd zupełnie przyzwoity i nawet zamieszczone w tekście mapki są odbite bez zarzutu z wyraźnymi napisami.

Na treść składają się dwa większe artykuły: kol. M. Mniszek-Tchorznickiego p. t. „Zagadnienie łowiectwa po wojnie”, i kol. J. Goetza p. t. „Stan liczebny zwierzyny na terenie D. L. P. w Toruniu.”

Artykuł kol. M. Tchorznickiego porusza zagadnienie b. ważne i aktualne i rozwiązuje je w sposób zasługujący na całkowite uznanie świata łowieckiego. Po scharakteryzowaniu zmian, jakie w dziedzinie stosunków łowieckich wprowadziły, z jednej strony przesunięcie granic państwa ze wschodu na zachód, a z drugiej — upaństwowienie lasów i reforma rolna, autor przychodzi do przeświadczenia, że zmiany te powinny dla przyszłości naszego łowiectwa okazać się korzystnymi.

Aczkolwiek bowiem utrata tak charakterystycznych dla przedwojennego myślistwa obszarów, jak Wileńszczyzna, Polesie czy Karpaty Wschodnie, zmniejszyła rozpiętość emocyj myśliwskich, to jednak zmiana granic wprowadziła jako równoważnik większe ujednolicenie kraju pod względem przyrodniczym, co posiada b. duże znaczenie dla realizacji planowej gospodarki łowieckiej.

Podobnie upaństwowienie lasów i przejęcie dużych obszarów nieruchomości ziemskich przez państwo stwarza duże możliwości do otoczenia łowiectwa należytą opieką i nadania mu charakteru poważnej gałęzi gospodarstwa narodowego.

Wychodząc z tych założeń, kol. M. Tchorznicki zatrzymuje się na sprawach wymagających już dziś właściwego ustosunkowania się władz i społeczeństwa. Takim zagadnieniem aktualnym jest sprawa dzików. Wzrost ilostanu tej zwierzyny o 15 — 20% nie usprawiedliwia alarmu o „klęsce” czy „pladze” dzików. Szkody wyrządzane przez dziki odczuwa głównie ludność obszarów nie doprowadzonych jeszcze do kultury, jak np. w Olsztyńskim, gdzie zrzadka rozsiane wśród burzanów poletka kolonistów są istotnie niszczone przez dziki, ściągające do nich z całego powiatu. Ale niech uprawa pól stanie się powszechną, a szkody te zmniejszą się radykalnie. Narazie walkę z tym powinni podjąć właściciele i dzierżawcy leśnych terenów łowieckich, wprowadzając pólka karmne lub kopce z wybiórkami ziemniaczanymi. Bowiem o „tępieniu” dzików, będących najlepszym sprzymierzeńcem leśnika w walce ze szkodliwymi owadami oraz w spulchnianiu gleby leśnej — mowy być nie powinno.

Drugim zagadnieniem aktualnym jest podniesienie wyniszczonego po wojnie stanu jeleni, danieli i sarn. O ile w stosunku do jeleni i danieli może wystarczyć przesiedlenie pewnej ilości sztuk z obszarów, posiadających je w nadmiarze do innych, bardziej wyniszczonych, oraz wprowadzenie ograniczenia sprzedaży odstrzałów byków z warunkiem ubicia wyłącznie okazów, zgóry wyznaczonych przez nadleśnictwa, a więc przede wszystkim byków starych i selekcyjnych, o tyle w stosunku do sarn powinna być zastosowana zupełnie inna metoda. Wobec katastrofalnego stanu pogłowia sarn, zwłaszcza w województwach wschodnich i centralnych, autor proponuje zająć się obecnie wyłącznie produkcją masową sarn, dążyć jedynie do zwiększenia pogłowia tej zwierzyny, a potem dopiero, po doprowadzeniu jej do stanu nasilenia, zająć się hodowlą jakościową.

W zakresie drobnej zwierzyny kol. M. Tchorznicki wierzy w rychłą regenerację zajęcy i kuropatw, jeżeli się będzie prowadziło walkę z kłusownictwem i stosowało metody dożywiania zwierzyny w okresie zimy.

Hodowlą bażantów powinny się zająć Lasy Państwowe, wznosząc woliery i niedopuszczając do wypuszczania bażantów „na dziko". W związku zaś z tym powinien być podjęty zorganizowany odstrzał drapieżników, zaniedbany dziś z powodu drożyzny naboi.

Praca kol. J. Goetza ma za zadanie odtworzenie ilostanu zwierzyny na terenie D. L. P. w Toruniu. Żmudne obliczenia obejmują tylko zwierzynę, ustaloną w łowiskach leśnych, bez pól i wód. Dają jednak one ciekawy obraz rozmieszczenia i ilościowego nasilenia jeleni, danieli, sarn, dzików, zajęcy i lisów, uwidoczniony na 5 mapkach sytuacyjnych.

Treść Nr. 4-go Biuletynu uzupełnia jeszcze sprawozdanie z działalności Oddziału Toruńskiego „Jedności Łowieckiej" za 10 miesięcy 1947 r.

J. Gieysztor.

II.

„PODSTAWOWE WIADOMOŚCI PRAWIDŁOWEGO MYŚLISTWA"—Antoni Wiśniewski, Kościan, str. 92.

Łowczy P. Z. Ł. w Kościanie, kol. A. Wiśniewski, pragnąc przyjść z pomocą młodym myśliwym, mającym zamiar wstąpić w szeregi członków Polskiego Związku Łowieckiego, a zobowiązanym, w myśl nowych przepisów, poddać się egzaminowi wstępnemu, wydał pod podanym wyżej tytułem broszurę. W przystępnej formie pytań i odpowiedzi podał autor najważniejsze wiadomości, niezbędne każdemu myśliwemu, a obejmujące ogół zagadnień z dziedziny łowiectwa praktycznego.

Nie jest to podręcznik łowiectwa, gdyż brak mu rozumowanej podbudowy, wiążącej w całość logiczną przesłanki natury historycznej, przyrodniczej, prawnej i praktycznej, składające się na naukę łowiectwa, ale praca ta czyni zadość założeniu, które skłoniło autora do jej podjęcia, mianowicie podania młodemu myśliwemu w formie skonkretyzowanych wniosków wyniku dotychczasowej pracy teoretyków i praktyków łowiectwa.

Wobec dotkliwie odczuwanego braku po wojnie fachowych prac z dziedziny łowiectwa, broszurę kol. A. Wiśniewskiego powitać należy z uznaniem, zwłaszcza dziś, kiedy przystępujemy do realizacji postulatu poddania egzaminowi wstępnemu kandydatów na członków rzeczywistych P. Z. Ł.

Zadania swe jako compendium egzaminacyjne spełnia broszura naogół zupełnie dobrze, podkreślając obowiązek myśliwego otoczenia zwierzyny i kniei należytą opieką, domagając się dokładnego poznania wyglądu zwierzyny i jej tropów, jej potrzeb w zakresie odżywiania się i hodowli, wykazując konieczność nabycia wprawy w strzelaniu, aby zmniejszyć ilość wypadków postrzelenia i tylko ranienia zwierzyny, nakładając na myśliwego obowiązek dochodzenia postrzałków i potrzebę posiadania odpowiednio ułożonych psów, konieczność walki z kłusownictwem i wnykarstwem oraz usuwania nadmiaru drapieżników przy równoczesnym dokładnym rozpoznaniu drapieżników skrzydlatych pożytecznych, wymagających ochrony.

Przystępne informacje z zakresu obowiązującego prawa łowieckiego, instrukcje o obchodzeniu się z bronią, o strzelaniu, o hodowli i układaniu psa myśliwskiego, praktyczne wskazówki o postępowaniu ze zwierzyną ubitą, uzupełniają w sposób należyty to compendium egzaminacyjne.

Do usterek w tej pożytecznej broszurze zaliczyć należy zbyt pochopne używanie prowincjonalizmów językowych, które sprawia, że np. zwierzynę łowną dzieli autor na płową i lotną, przy czym do płowej zalicza obok jeleni, danieli i sarn, także — dzika, wilka, lisa, zająca i t. d., czyli wszystkie czworonogi.

J. Gieysztor.

A. BRUDNICKI.

Podstawowe wiadomości o karmieniu i tresurze psów myśliwskich w domu i w polu

CZĘŚĆ III.

TRESURA PSÓW MYŚLIWSKICH W POLU.

Teren do układania psów myśliwskich powinien być o powierzchni równej, bez pagórków i zarośli. Część pola tresurowego zachować trzeba bez zwierzostanu, pozostały zaś obszar powinien posiadać kuropatwy i zające, w celu przeprowadzenia ćwiczeń. Gładkie tereny bez zagajników dają możność ustawicznego obserwowania psa i niepomijania jego błędów w pracy, co jest utrudnione, lub wręcz uniemożliwione na terenie nieodpowiednio wybranym (np. falistym).

Układanie psów do polowania najwłaściwiej przeprowadzać wczesną wiosną od marca począwszy, kiedy kuropatwy z dużych stad rozbijają się w pary, gdyż wtedy powstają najlepsze warunki do układania, bo kury w parach dotrzymują, tj. dają się podchodzić.

Młodego pieska łatwiej układać, mając ze sobą, o ile to możliwe — drugiego dobrze pracującego psa. Wszelkie ćwiczenia tresurowe i treningi powinno się przeprowadzać w czasie, gdy pies nie otrzymał jeszcze pożywienia, lub między ustalonymi godzinami posiłków. Jeżeli przeprowadzamy lekcję rano, trzeba ją uskutecznić przed śniadaniem lub obiadem, gdyż po jedzeniu pies jest zwykle nieco ociężały i mniej chętnie spełnia polecenia. Tresurę można zacząć w 2 godziny po karmieniu, aby dać psu możność przetrawienia. Gdy skończymy lekcję przypadającą na ten dzień, dajemy elewowi jedzenie mniej więcej po upływie pół godziny.

Przy układaniu w polu, zarówno do field-trialsów (prób wiosennych), czy na próby jesienne (chasses practiques) opierać się musimy na odpowiednich regulaminach międzyklubowych, które ustalają właściwy

kierunek. Dla zapoznania się z wymaganiami regulaminowymi korzystać należy z Regulaminu ogłoszonego w Kalendarzu Myśliwskim na rok 1948 Polskiego Związku Łowieckiego.

Wiosenne próby mają inne wytyczne od prób jesiennych tj. praktycznego polowania, mianowicie wyeliminowanie wybitnie zapowiadającej się polowo młodzieży, oraz materiału hodowlanego—reproduktorów i matek w celu przyszłej selekcji. Pies wyróżniony musi odznaczać się doskonałym wiatrem i budową oraz wykazać należytą wytrzymałość, sprawność i skoordynowanie stylowych ruchów w polu. Zaprawienie psa do prób wiosennych, jest łącznikiem, stanowiącym ciągłość tresury konkursowych psów myśliwskich.

Jesienne próby są sprawdzeniem tresury polowej należycie ułożonego dorosłego psa. Jednocześnie myśliwy, prowadzący psa, zdaje egzamin sztuki treserskiej. Pies powinien w możliwie krótkim czasie dać możność upolowania dużej ilości zwierzyny (zależnie od zwierzostanu na danym terenie) i na polecenie myśliwego odnaleźć każdego postrzałka.

Pierwsze próby jesienne praktycznego polowania psów myśliwskich odbyły się w 1927 r. na polach wilanowskich, zaś konkursy wiosenne zapoczątkowano w 1928 r. Zarówno imprezy wiosenne, jak jesienne są nieodzowne, ze względu na swe znaczenie wykazania poziomu hodowli i tresury psów w Państwie.

1. Harcowanie i spacery w polu.

Młody wyżełek kilko-miesięczny (lub starszy pies), który opanował już kurs ćwiczeń w domu, wychodzi z nami w pole (patrz „Tresura domowa", część II). Najpierw wyprowadzamy wychowanka na teren bez zwierzyny, trzymając go na smyczy „za nogą". Na wolnej przestrzeni uwalniamy ucznia ze smyczy i zachęcamy go „idź naprzód". Podczas pierwszych lekcyj nie strofujemy go za zbytnie oddalenie się od menera, a także nie hamujemy jego swobody, gdyby nasz szałaput pogonił kuropatwy lub kłusował za pomykającym zającem. Jest to bowiem zapoczątkowanie obudzenia się u niego pasji łowieckiej. Należy więc pobłażliwie patrzeć na pierwsze wyczyny naszego faworyta.

Podczas harcowania w polu wskazane jest towarzystwo rówieśnika lub starszego psa, odznaczającego się dobrymi chodami, któremu nowicjusz starałby się dorównać. Po pewnym czasie nasz początkujący praktykant będzie szedł za każdym napotkanym zającem czy ptaszkiem, dając tym ujście swemu temperamentowi, który jest wrodzoną zaletą psa myśliwskiego. Mener zaczyna względem ucznia stosować tresurę domową, jak chodzenie za nogą, warowanie, posłuszeństwo. Po tych ćwiczeniach nasz chwilowy zawadiaka szybko się utemperuje.

Gorzej, jeśli piesek okaże się powolny, ciężki w ruchu i nie ma wrodzonej pasji i temperamentu, które częściowo dają się rozwinąć odpowiednimi ćwiczeniami i treningiem.

W szczególności trzeba uważać, by młody pies nie zatrzymywał się niepotrzebnie na starych śladach zwierzyny. W tych razach przerywamy głuptasowi, odwołując go gwizdkiem, by nie myszkował i słownie strofujemy go: „Nie wolno". Po takich upomnieniach wysyłamy chwilowego marudera: „Idź naprzód". Zdarza się też, że uczeń wyszukuje w polu wyrzucane kości (szczególnie na polach podmiejskich), chcąc instynktownie uzupełnić brak składników mineralnych tj. soli fosforowych i wapniowych w codziennym pożywieniu. Jeśli to zauważymy, powinniśmy dostarczyć psu więcej odżywczych preparatów, bądź naturalnych produktów, zawierających dane składniki (patrz „Wychów i Karmienie", cz. I).

2. Wyrabianie prawidłowych chodów w polu.

Swawolne harce stopniowo korygujemy do racjonalnych chodów. Wyrobienie chodów jest niezmiernie ważne, a że często bywa bagatelizowane przez myśliwych, należy więc poświęcić temu ćwiczeniu więcej czasu i systematycznej pracy. Wybieramy długi pas pola o szer. od 100—200 mtr. z możliwie wyraźnie wyznaczonymi granicami po bokach w tzw. bandach np. strumyk z jednej strony—wał z ziemi z drugiej, lub nasyp z jednej, a z drugiej rów itp.

Ustaliwszy kierunek wiatru, idziemy z psem środkiem wzdłuż pola (pod wiatr). W pewnej chwili polecamy wyżełkowi iść naprzód, a gdy odbiegnie na odległość mniej więcej do 15 metrów, zatrzymujemy go sygnałem na „waruj". Na polowaniach dopuszczalne jest oddalenie się psa na zasięg strzału tj. do 35 mtr. Po zatrzymaniu psa mener idzie na lewo, poczem krótkim gwizdkiem skłania ucznia, by podążył również w tym kierunku. Następnie mener zwraca w prawo, gdy pies nie zawróci, mener gwizdkiem wskazuje zmianę kierunku. Jeżeli elew prawidłowo przebiega przed menerem, to otrzymuje rozkaz znakiem ręki, by biegł dalej. Pies powinien biec w kierunku wskazanym mu ręką do miejsca wirażu i z powrotem. Dążymy, by pies wprawił się do samodzielnych chodów ósemką, coraz szerszych po 20, 50 do 100 metrów w jedną i drugą stronę, tzn. na prawo i lewo od menera. Przy zakrętach na krańcach bandy należy uważać, by pies okładał pole w kierunku od menera, w przeciwnym razie linia chodów tworzy nieprawidłowe ósemki, lecz pętlice i koła. Jeśli mener skonstatuje, że pies odznacza się wyjątkowo upartym charakterem i wskutek tego trudno mu wyrobić prawidłowe chody, wówczas można użyć długiego otoka, by nierozważny i goniący uporczywie pies wpadał w korale.

Zastosowanie otoka w tym wypadku przyśpieszy osiągnięcie wprawy i ułatwi naukę. Należy jednak otoka unikać, by nie zniechęcać psa do samodzielnej pracy. Gdy pies opanuje już to ćwiczenie i będzie symetrycznie okładał w prawym i lewym kierunku od menera, nie oddalając się zbytnio w jedną tylko stronę, próbujemy opracowywać pole na szerokiej, nieograniczonej po bokach przestrzeni.

3. Spokój po strzale i wzlocie zwierzyny.

Gdy nasz uczeń z obudzoną pasją łowiecką w sposób przewidziany i ujęty przez tresurę interesuje się polem, zaczynamy uczyć go „wytrzymywania" na strzał. Nie zawsze bowiem pies przyzwyczaja się od razu do strzału w polu. W tym wypadku stosujemy gradacje huków od najcichszych do coraz głośniejszych. Narazie posługujemy się straszakiem (korkowym) lub innym, przy następnych lekcjach używamy już słabych ładunków do normalnych naboi włącznie. Na niemałą sensację słuchową, połączoną jednakże z przyjemnością, jakiej doznaje jednocześnie jego pasja łowiecka, pies stanie się stopniowo mniej wrażliwy.

Podchodzimy z psem na otoku do kuropatw, po zerwaniu się ich dajemy strzał.

Przy pewnej już rutynie, osiągamy, że pies po strzale pozostaje na miejscu w pozycji stojącej, lub warującej. Nie wymagamy jednak, by przy warowaniu kładł głowę na przednich łapach. Unikniemy przez to zbytniej musztry tresurowej, oraz dajemy psu możność obserwacji pola. Po spadnięciu kury pies może ją za-



Splendor „Gryg" doprowadza do kuropatw

uważyć, a następnie podać na uprzedni rozkaz menera (co przewidziane jest w regulaminie prób jesiennych). Nie zawsze rozkazujemy psu podać kurę leżącą na widocznym miejscu, lecz ostentacyjnie podnosimy ją i trokujemy. Czynimy to dla zupełnego opanowania i utrwalenia spokoju po strzale do zwierzyny.

4. Okładanie terenu i wystawianie zwierzyny.

Z obeznanym już w polu pointrem, settrem lub wyżłem kontynentalnym wychodzimy na teren, by zapoznać ucznia z okładaniem pola i wystawianiem zwierzyny. Początkujących młodych psów nie należy ćwiczyć na ptactwie o silnym odwietrze, jak np. bażanty, derkacze itp. Węch psa po silnych podnietach (w tym wypadku zapach bażanci) słabiej może reagować na subtelniejszy odwiatr kuropatw. Bardzo ujemną, a dość częstą wadą młodych psów jest wystawianie małych ptaszków, jak skowronki i inne. Jeśli to się zdarzy — strofujemy psa słowami „fe, mały ptaszek". Myśliwy pod żadnym pozorem nie powinien strzelać do ptaszków.

Zdarza się, że nasz młokos robi stójki do pustych miejsc. Jest to niedopuszczalne i na próbach polowych wykroczenie takie dyskwalifikuje psa.

Przestrzegamy, by nasz przyszły „derbista" okładał pole ósemką, a przy tym nie marnował czasu na śladach zwierzyny, lekko je tylko zaznaczając. Jeżeli uwagi nie skutkują, przechodzimy na nowy teren, biorąc psa na smycz. Pies ponownie zaczyna prawidłowo okładać pole pod wiatr, przyjmując kierunek przypominający ruch wahadła. Dopomagamy w tym odpowiednim prowadzeniem psa w polu, chodząc tzw. „czółenkiem".

W pewnym momencie elew, wietrząc zwierzynę, w obawie by jej nie spłoszyć, zwalnia chody. Zachęcony przez menera: „idź naprzód" w pewnej chwili zatrzymuje się, przybierając postać posągową — stójki do kur. Wyciekająca parka przysiadła twardo przed psem. Wtedy mener podchodzi spokojnie do elewa, zachęca go, by szedł naprzód. W momencie zerwania się kuropatw pies pozostaje na miejscu, jeśli zachowa się poprawnie — zasłużył na pochwałę. Jeżeli zaś poniesiony pasją łowiecką — temperamentem — naskoczy i wypchnie lub pogoni zwierzynę, jest to mniej karygodne, aniżeli wystawianie przez nadmierną ostrożność, względnie przez słabszy węch śladów lub miejsc, gdzie kury przebywały.

Omijając miejsce, gdzie przysiadły ostatnio wystawione kury, przechodzimy następnie z psem na nieopracowany jeszcze teren, w celu ponownego doprowadzenia do stójki.

5. Respektowanie zajęcy w polu.

Okładając pole młody nasz spryciarz niejednokrotnie „wysadzi" z kotliny szaraka i uniesiony pasją łowiecką pogoni za nim. Dajemy komendę na „waruj" słowem, gwizdkiem lub przez podniesienie ręki. Jeżeli po tych upomnieniach nasz swawolnik nie wykonał rozkazu, czekamy cierpliwie na powrót zziajanego kłusownika. Obrawszy punkt obserwacyjny mener śledzi wszystkie niedopuszczalne wyczyny samowolnej wycieczki. Gdy pies się przekona, że nie uda mu się chwycić „wiatronoga" i nahasa się do woli — wraca do menera, który chce go ukarać za oddalenie się samowolnie. W tym celu ukrywa się przed nim za drzewo, stożek siana lub kopiec graniczny. Wtedy pies orientuje się, że sprawił sobie kłopot odszukaniem ulubionej osoby menera. Upamiętnione uczucie niepokoju powstrzyma go od podobnych wycieczek. Po pewnym czasie obserwowania psa, który za wszelką cenę usiłuje odnaleźć pana, mener przywołuje go sygnałem, dając słowną naganę: „nie wolno tak". Po takiej nauczce niezwłocznie trzeba zmienić pole, idąc w przeciwnym kierunku od tropu sunącego niedawno szaraka.



Splendor „Pum" stójka do zająca

Zaczynamy na nowo racjonalne chody, szukając nowych pokus „prowokatora" i sposobności respektowania go w polu. Można też podchodzić z psem na otoku na upatrzonego.

Gdy nagle wypryśnie, a pies i teraz nie dotrzyma i nie honoruje sygnałów, przechodzimy lekcję posłuszeństwa i warowania („Tresura domowa", część II). Jeżeli powyższe ćwiczenia nie osiągną efektu, stosujemy do uparciucha ostrzejszą lekcję czołgania od miejsca pognania i z powrotem.

Samowolne pognanie psa za zwierzyną grozi zdjęciem z prób polowych. Po kilku karnych ćwiczeniach prawdopodobnie nasz uczeń na widok defilującego

przed nim kota będzie go salutował. Pomimo, że pies nie pogoni zająca, przypomnijmy mu jednak sygnałem konieczność przywarowania, co zresztą po kilku lekcjach wykonywa, nie czekając rozkazu.

Doprowadzimy do tego, by pies, nie przerywając pracy nad kuropatwami, nie zwracał uwagi na biegnące koty np. w czasie parkotów (godów wiosennych). Psów myśliwskich angielskich ras, zwłaszcza występujących na fieldtrialsach, nie specjalizujemy do polowań na zające.

6. Doprowadzenie do kur — ściąganie.

Przy nauce doprowadzania do kur korzystamy z terenu otwartego, jak oziminy, pole zaorane lub rżysko. Przestrzegamy prawidłowych chodów psa i prowadząc go, uwzględniamy kierunek wiatru. Zwietrzywszy kury, pies powinien ściągnąć i do nich doprowadzić, bez względu czy dotrzymują twardo, czy też wyciekają.

Wymagane jest, by pies doprowadzał pewnie, śmiało, zatrzymując się nawet na rozkaz myśliwego (gdy już nabierze wprawy).

Jeśli pies zbyt twardo wystawia, tj. obawia się posunąć ze stójki pomimo poleceń myśliwego — jest to dla polującego niekorzystne, bo kury mają możność wycieknąć poza strzał.

W tym wypadku dla przykładu pożądana jest obecność starszego dobrego psa, śmiało doprowadzającego, za którym treser prowadzi na smyczy swego ucznia. Można również korzystać z pomocy praktykanta treserskiego, który ma zachęcić i zmusić psa do posuwania się w pozycji stojącej lub warującej na rozkaz myśliwego—„idź naprzód". Pomocnik idzie tuż za psem dotykając go nogą. Jeśli nie mamy do pomocy praktykanta czy drugiego psa, przeprowadzamy to ćwiczenie inaczej.

Używamy wtedy długiego otoka. Gdy pies zatrzyma się na stójce, myśliwy idąc ku niemu stąpa po otoku, którego początek trzyma w lewej ręce. Podobnie jak poprzednio pomocnik, zmusza psa do posuwania się naprzód na komendę. Jeśli kury wyciekają, rozkazuje psu co pewien czas przywarować. W razie wypchnięcia kur i zerwania się psa za nimi, myśliwy szarpnięciem otoka i obroży zatrzymuje go na miejscu.

Niezwłocznie przechodzimy po tym ćwiczenie 4 i 5 z „Tresury domowej" (cz. II). W krótkim czasie uwydatni się w psie pożądana cecha prawidłowego doprowadzenia i ściągania do zwierzyny.

7. Sekundowanie psa w polu na widok stójki partnera.

Dla rozwinięcia tego waloru, wrodzonego w psach myśliwskich angielskich ras, trzeba przeprowadzać ćwiczenie z parą psów. Sekundowanie jest probierzem siły wiatru przez porównanie na jaką metę zawietrzy jeden pies przed drugim. Na próbach polowych wiosennych pies nie może brać udziału bez znajomości sekundowania. Dodatnią stroną umiejętności sekundowania psów jest, że dwóch myśliwych może wspólnie zażywać przyjemności polowania z parą psów. Nie przeszkadzając sobie wzajemnie, psy pracują intensywniej z większą wydajnością ku zadowoleniu myśliwych. Jeden myśliwy może również prowadzić jednocześnie dwa psy dobrze zaawansowane polowo, nawet różnych ras, np. settera z pointrem, uważając, by prawidłowo okładały pole, przecinając ósemki przed menerem. Respektując stójkę współtowarzysza, drugi pies powinien zasekundować i razem doprowadzić.

Mener dochodzi z wystawiającym psem i sprawdza wiarogodność jego stójki. Jeśli stójka okaże się pusta, sekundujący pies powinien tylko lekko zaakceptować stójkę partnera i minąć to miejsce, dystansując tym swego towarzysza. Naodwrót, wystawione kury przez pierwszego psa, sekundujący może czasem spłoszyć i wypchnąć nie zwietrzywszy, co znów źle świadczy o jego węchu. Przy pracy z psami (zwłaszcza dwoma) trzeba bardzo ograniczenie posługiwać się gwizdkami, aby pozwolić im samowolnie pracować.

8. Trening systematyczny.

Ćwiczeniem tym kończymy tresurę psów myśliwskich, które mogą wystąpić na wiosennych próbach polowych.

Szkolenie to przechodzą też, jako układanie przygotowawcze, psy mające występować na jesiennych próbach. Dodać jednak należy, że do prób jesiennych oprócz wyżej wymienionych punktów tresury trzeba mieć rutynę — doświadczenie. Systematyczny ten trening będzie reasumcją układania psa przy wychowie w domu i w polu. Dotychczasowa tresura fieldtrialsowych psów, przeistacza się w systematyczne trenowanie.

Treser, nie poprzestając na prowadzeniu z uczniem ćwiczeń, staje się trenerem i przechodzi z nim wyższy, uzupełniający kurs nauki. Z małymi odchyleniami trenowanie to trwa prawie cały rok od wczesnej wiosny począwszy. Stojący na wysokości zadania mener wydobędzie z psa myśliwskiego maksimum zalet nabytych układaniem oraz walorów danej rasy, jak szybkość, umiejętność korzystania z kierunku wiatru, sprężystość mięśni, styl i piękno pracy.

Nieumiejętne podejście trenera do układania, może przytłumić zapał i wszelkie walory wrodzone psa, lub je wypaczyć. Na miano uzdolnionego zasłuży ten treser czy trener, którego uczniowie zajmą pierwsze miejsca na konkursach polowych.

Pożądane jest, by pies występujący na fieldtrialsach skończył swą karierę polową (do championatu włącznie) w ciągu trzech pierwszych lat. Potem jako doświadczony, użytkowy pies może zdobywać czołowe miejsca na próbach jesiennych.

Zdobywca miejsca na fieltrialsach, wytrenowany, tzw. „trialer", wyróżnić się musi sposobem szukania bezwzględnie górnym wiatrem, z głową wzniesioną, płynnym doprowadzeniem, wytrzymałością, umiejętnością wystawiania wyciekających kur po przecięciu ich odwiatru, wykonywaniem stójki „z rzutu", tj. w pełnym galopie, przypominającej klasyczną rzeźbę. Stopień doskonałości, którym się pies wyróżni w swej pracy, ustala wysokość jego klasy.

9. Odwoływanie psa od stójki — na sygnał.

Tym punktem wkraczamy w okres ćwiczeń, nieodzownych dla psa, mającego brać udział w polowaniach. Tresura ta dotyczy psów myśliwskich wielopolowych, ułożonych według regulaminów prób jesiennych.

W racjonalnych polowaniach, które należy rozumieć jako trening z dobrze strzelającym myśliwym, każdą

pojedynczą kuropatwę, zabitą, czy wyciekającego postrzałka, pies musi prawidłowo odszukać, doprowadzić i podać. Dużą rutynę osiąga się po rozbiciu stada, a zatem w pracy za pojedynczą sztuką.

Dewizą takiego polowania z psem przed zawodami jest nie ilość zabitej zwierzyny, lecz prawidłowe opracowanie każdej sztuki. Ma to kolosalne znaczenie dla praktyki wyżła. Daje ono psu pewność siebie i opanowanie w trudniejszej pracy. Odwoływanie od stójki będzie jednocześnie wstępnym ćwiczeniem do wyszkolenia anonsowania o zwierzynie. Podczas stójki przyczepiamy psu do obroży otok i dwoma cichymi gwizdkami wraz z pociągnięciem otoka skłaniamy psa, by przyszedł do nogi. Po odejściu z nim jeszcze kilku kroków wstecz żądamy, by pies doprowadził nas z powrotem do zwierzyny. Po kilku lekcjach z coraz dalszego miejsca odwołujemy psa od stójki. Odwoływanie od stójki jest zaletą, która wpływa na ocenę psa.

10. Szukanie i odnajdywanie postrzałków.

Chęć szukania postrzałków jest u psa instynktowna, należy ją jednak utrwalić i udoskonalić stosownie do naszych wymagań.

Dodatnią cechą prawidłowego szukania i odnajdywania jest niegubienie zlotkowanych, ranionych ptaków. Rozbite stado rozlatuje się. Nie powinno się pozostawiać kur w rozsypce, lecz prowadząc psa prawidłowo pod wiatr, opracować wszystkie pojedynki. Dopiero można szukać nowego pełnego stada.

Starajmy się czysto strzelać. O ile zdarzy się postrzałek — to pamiętać należy, że zbarczona kura nie daleko wycieka redliną, mniej więcej do 50 kroków, później skręca i zaszywa się w gęstwinę. Pies mało doświadczony pójdzie po zmylonym śladzie bruzdą w koniec kartofli czy buraków i zacznie błądzić, lub szuka, idąc z powrotem w tzw. „piętkę". Bierzemy wówczas psa na smycz i obrożę tresurową, nie ganiąc go. Miejsce postrzałka należy zaznaczyć chusteczką, papierem lub wyrwanym chwastem. Po pewnym oddaleniu się polecamy psu na nowo okładać pole pod wiatr. Przy zbliżaniu się do miejsca zaznaczonego rozkazujemy psu: „Szukaj, zguba". Niewątpliwie utajona kura znajdzie się.

Za poprawne sprawowanie się ucznia w nagrodę przekręcamy obrożę na gładką stronę. Obopólnie zadowoleni partnerzy kierują się w celu odnajdywania pojedynek. Jeśli na nowo pies coś przeskrobie, chcąc go utemperować, odwracamy obrożę tresurową.

Ważnym wskaźnikiem dla myśliwych jest znajomość obyczajów i zmyślności zwierzyny, na którą polujemy z psem. Kuropatwy lubią przebywać z rana i przed zachodem słońca na łąkach przy wodzie. W ciągu dnia kryją się w burakach i kartofliskach o niezbyt bujnej łęcinie lub wygrzewają się w piasku na słońcu. Przed wieczorem zaś żerują na ściernisku. Spłoszone w czasie polowania stadko, wraca w niespełna godzinę w ten sam łan kartofli i daje się podchodzić.

Kury są tak „łaskawe" w początku sezonu polowań. Wręcz przeciwnie, październikowe „pecynki" są bystre i harde. W godzinach południowych w słoneczne dni upalne wskazane jest przerwać polowanie. Powietrze bowiem jest zbyt ogrzane i duszne, a minimalny ruch cząstek jego nie pozwala psu uchwycić odwiatru zwierzyny. Praca w tych warunkach wyczerpuje fizycznie zarówno menera jak jego faworyta. Podczas pierwszych polowań z psem nie jest pożądana obecność innych myśliwych, gdyż strzały z dwóch strzelb dezorientują młodego wyżełka. Również układanie na tym samym polu drugiego psa, mało zaawansowanego w tresurze domowej, ujemnie wpływa na naszego ucznia, dając mu zły przykład.

11. Podawanie zwierzyny w polu.

Na polowaniach, zwłaszcza jesienią, podawanie zwierzyny na rozkaz okazuje się w praktyce myśliwskiej niezbędne. Umiejętność podawania wymagana jest od psów biorących udział w konkursach polowych jesiennych. Brak tej zalety dyskwalifikuje psa. Doskonaląc podawanie opieramy się na przerabianym poprzednio ćwiczeniu (7-ym z „Tresury domowej", cz. II). Przestrzegać jednak musimy, by pies samowolnie nie wyrywał się do podawania, gdyż daje to złe skutki.



Splendor „Arja" odnalazła postrzałka

Przede wszystkim pies może pogonić, jeśli myśliwy spudłuje, a gdy padnie strzelona kura — przez pośpieszne odszukiwanie jej — spłoszy pozostałe. Pies powinien czekać rozkazu, iść razem z myśliwym i po drodze wystawiać kuropatwy, jeśli je spotka. Chcąc nauczyć psa spokoju w tych razach, myśliwy ociąga się z rozkazem po spadnięciu kury, mówiąc: „nie rusz, nie wolno". Psu zakładamy otok i idąc obok niego stopniowo zbliżamy się do miejsca spadnięcia kury.

Myśliwy daje dwa ciche gwizdki, przywołując psa i słowem „weź" pozwala psu podnieść kurę, potem każe psu siadać. Sprawdza, czy pies dobrze ją trzyma i niesklonny jest upuścić, a po chwili mówi „daj" i odbiera kurę. Z początkującym psem przerabiamy to ćwiczenie w chłodniejszej porze dnia, by pies nie był zmęczony upałem, nie zjajał, wskutek czego mniej chętnie wykonałby polecenie metra.

Przed konkursami na 2 tygodnie pies musi być układany przy dobrej strzelbie, aby miał możność opracowania i prawidłowego podawania około setki kuropatw. Dobieramy tereny pokryte saradelą, wyższymi kartoflami i polecamy wyszukać w nich postrzałki i kury pozostałe po rozbiciu stada. W dnie upalne polując z psem doprowadzamy go dla ochłodzenia do wody, np. rzeczułki, stawu.

12. Podawanie zwierzyny na mokrym terenie.

Do polowania na dzikie kaczki używamy tylko psa myśliwskiego wielopolowego, na którego nie potrzeba

już zwracać specjalnej uwagi, niezależnie czy pracuje na otwartym terenie, czy zarośniętym, n.p. w szuwarach, gdzie musi wystawiać i szukać zbarczonej zwierzyny lotnej.

Specjalistą do ptactwa wodnego jest spaniel-płochacz (setter na krótkich nogach), który nie wystawia ptaka, lecz na zasięg strzału płoszy i postrzelone odnajduje i podaje myśliwemu. Na polowaniach na ptactwo wodne trudno obejść się bez dobrego „kaczarza", bez względu na to czy polujemy z łódki, czy też brodząc. Podczas pogody można przerabiać celowe ćwiczenia na mokrych łąkach i rozlewiskach z ptactwem błotnym, jak dubelty, bekasy które dotrzymują przed psem, zwłaszcza w poobiedniej porze. Przed sezonem polowań na kuropatwy należy przerobić wszystkie ćwiczenia potrzebne zarówno dla wiosennych, jak jesiennych prób polowych.

Ćwiczenia podawania z wody przeprowadzamy letnią porą, by nie narazić psa na zaziębienie. Pies powinien samorzutnie wchodzić do wody i chętnie płynąć. Wybieramy z początku miejsca płytsze. Do wody stojącej rzucamy podawkę z drzewa, potem butelkę zakorkowaną, stopniowo coraz cięższą. W letnim sezonie polowań uczymy psa przynosić z wody ptactwo — do krzyżówek włącznie. To samo ćwiczenie przeprowadzamy na płynącej wodzie oraz przerzucamy podawkę na drugi brzeg rzeki. Niedozwolone jest, by pies zostawił porzuconą podawkę. Gdyby elew nie mógł odnaleźć jej na wodzie, mener powinien mieć przygotowane kamyki i rzucając nimi, wskazać miejsce, gdzie zguba znajduje się, zachęcając psa „weź". O ile by to nie poskutkowało, treser sam wchodzi do wody, by odnaleźć podawkę i zbliżając się do niej, mówi do psa: „Szukaj", a potem „weź".



Splendor „Reb" podaje krzyżówkę

W celu podawania spod wody, idziemy na rzekę płytszą, o dnie z piasku lub żwiru i wrzucamy do niej butelkę z ciemnego szkła napełnioną wodą. Zachęcamy psa słowami: „podaj, weź".

Gdy spełni polecenie parę razy, posyłamy go później na głębszą wodę, by nabrał wprawy do nurkowania. W sezonie polowań zaczynamy praktyczne zajęcia na ptactwie, poczynając od bekasa, kończąc na krzyżówce.

13. Zatrzymywanie wyciekających kur.

Późną jesienią kuropatwy, które niejednokrotnie już poznały niebezpieczeństwo, są bystre, ostrożne i nie dają się łatwo podchodzić.

Ćwiczenie to można stosować do psa myśliwskiego, z którym tresura została już zakończona i znaczna ilość zwierzyny spod niego zabita na polowaniach.

Ćwiczenie, polegające na zatrzymywaniu kur, najstosowniej jest przeprowadzić z psem starszym w trzecim polu, którego inteligencję i wrodzone zalety polowe, udoskonalone dłuższą praktyką, mener skonstatował podczas pracy. Praktyka wykazała, że młody pies, nieposiadający rutyny łowieckiej, mylnie ujmuje to ćwiczenie. Wystawiwszy kury, oddala się od nich, nie czekając przybycia myśliwego i szuka nowych ptaków, które zwietrzywszy, opuści znów za chwilę. Od błędu tego trudno psu później odwyknąć i wykonywać swe zadanie prawidłowo. Gdy wielopolowy pies stójką wskaże nam obecność kur, przywołujemy go do siebie gwizdkiem i, prowadząc psa półkolem, zagradzamy dalszą trasę wyciekającemu stadu. Kuropatwy zdetonowane zatrzymują się przed roztropnym psem, następnie poderwą się do lotu na zasięg strzału. Zręcznie zastosowany manewr pozwala nam osiągnąć pomyślny wynik powziętego planu.



Splendor „Bej" stójka do bażantów

14. Anonsowanie zwierzyny.

Nieprzeciętna zdolność psa myśliwskiego anonsowania nie może być osiągnięta wyłącznie przez tresurę, jest ona raczej wynikiem inteligencji, wzajemnego zrozumienia i współpracy ze swym panem. Dzięki specjalnej znajomości sztuki tresersko-łowieckiej menera, umiejętne zastosowanie prawidłowej tresury i dłuższe doświadczenie sprawiają, że rozumny pies doskonale orientuje się i wykonywa aktualne prace myśliwskie. Sprawnie odnajduje więc stada kuropatw, bażantów w zakrytym polu i zagajach, jak również ostoje młodych cietrzewi na moczarach, zarośniętych mchem, wysoką trawą, krzewami, karłowatą brzeziną. W celu wyspecjalizowania psa w prawidłowym anonsowaniu zwierzyny, po przeszkoleniu go w tresurze domowej, opracowujemy z nim pilnie 6-te i 11-te ćwiczenie, tj. doprowadzenie do kur i podawanie zwierzyny w polu. Z tresury w polu wskazane jest przypomnieć ćwiczenia 9 i 13 mianowicie odwoływanie od stójki na sygnał i zatrzymywanie wyciekających kuropatw. Wtedy możemy przystąpić do 14-go punktu tresury.

Wyruszamy z psem w pole i obieramy sobie duży łan, np. łubinu gęstego lub wysokich kartofli. Na skraju zagonów zatrzymuje się mener i ostentacyjnie siada na pniu drzewa (lub stołeczku myśliwskim), by elew zwrócił na to uwagę. Oczywiście treser powinien zauważyć zapadające stadko w ów łan i orientować się, w którym miejscu w tej chwili przebywa.

Wysyłamy psa na poszukiwania, wymawiając słowa: „Zwiady, raport”. O ile by elew nie wiedział co ma uczynić, mener zostawia torbę swą i strzelbę, co zwróci uwagę psa—i udaje się z nim do upatrzonego stadka. Gdy pies zatrzyma się na stójce, myśliwy ostrożnie powraca do pozostawionej broni. Po kilku minutach, jeżeli pies sam do pana nie przybiegnie, wzywamy go do siebie sygnałem. Powracającemu okazujemy zadowolenie, a po pięciu minutach, powtarzając „zwiady, raport”, udajemy się w pole, zabierając przybory myśliwskie, do wystawianych kuropatw. Gdy pies doprowadzi, powinno się zabić kilka kur w nagrodę za pracę psa. Ponawiając to ćwiczenie, treser może skryć się przed psem, by ten po wystawieniu kur, zaniepokojony nieobecnością pana, z własnej inicjatywy go odnalazł. Gdyby uczeń dłużej biedził się szukając pana — to zadanie trzeba mu ułatwić.

Oczekiwanie na powrót psa ze stójki może trwać około 10 minut, nie więcej. W przyszłych lekcjach pies, szukając zwierzyny, może oddalić się od menera na dłuższą metę bez żadnej obawy.

Pewność elewa, że po stójce szybko odnajdzie swego ulubionego pana, który oczekuje na niego nie zmieniając miejsca, wpływa dodatnio na spokój a zatem na celowość pracy psa.

15. Wiadomości co do utrzymania psa w porze treningów i polowań.

Podczas forsownych treningów i polowań w pierwszym rzędzie należy dbać o to, aby pies był odżywiany obficiej i treściwiej. Wtedy bowiem będzie on w dobrej formie (cz. I-sza „Wychów i karmienie psa dorosłego”).

Jeżeli pies poluje na terenie mokrym, porośniętym gęstą ostrą trawą lub trzciną, narażony bywa na bolesne zadraśnięcia lub starcia skóry i nóg. Podobnie też w polu na terenie trudnym do pracy, porośniętym ostami, łubinem itp. jest to nieuniknione.

Po skończeniu polowania trzeba psa obejrzeć i miejsca podrażnione posmarować wazeliną, skaleczenia zaś zajodynować.

Można również posmarować mu piętki i palce u nóg. Po polowaniach na cięższych terenach, gęsto zarośniętych, posmarować trzeba nos psa wazeliną, gdyż przeważnie po pracy jest on suchy i posiekany. Zdarza się, że pies biegnie za pojazdem swego pana, bywa to często przyczyną podbicia i okulenia. Powinno się tego unikać (zwłaszcza na polowaniach). Po powrocie z polowania lub treningu dajemy psu czystą wodę do picia, a po zastosowaniu wyżej wymienionych zabiegów higienicznych i nakarmieniu, elew powinien wypoczywać na wygodnym suchym posłaniu.

A. Brudnicki.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Dawno zapowiadana i długo przez ogół myśliwych oczekiwana praca inż. Wiesława Krawczyńskiego, ukazała się wreszcie w lutym b. r. p. t. „Łowiectwo”. Wydana nakładem „Spółdzielni Las” w Warszawie, str. 781.

Na wstępie omawiania niniejszej książki trzeba sobie powiedzieć, że zarówno autor jak i wydawca mają olbrzymią zasługę. Pierwszy przez mozolne opracowanie tak olbrzymiego materiału, drugi przez wydanie tej pracy.

Książki tej nie można przeczytać, trzeba ją przestudiować, ma ona bowiem służyć za podstawowy podręcznik łowiectwa. Zastanówmy się, czy spełnia ona tę rolę.

Mnie się zdaje, że tak. Materiał rozpracowany jest obszernie, poważnie i mimo dość licznych, niestety, niedociągnięć i błędów, których nie da się uniknąć, praca ta jest bezwzględnie pozycją wysoce dodatnią w spisie naszej literatury łowieckiej.

Z obowiązku recenzenta muszę wytknąć szereg błędów, nie zawsze powstałych z winy autora.

A więc przede wszystkim korekta. Zarówno maszynowa czyli drukarska, jak i autorska, bardzo szwankują. Zwłaszcza błędy, zmieniające sens zdania, bardzo poważnie przyczyniają się do złego wrażenia, jakie pozornie praca ta może wywrzeć na czytelniku. Wiem od autora, że nie jego było to winą.

Druga wada — to słownictwo łowieckie. Wprawdzie autor powołuje się prawie zawsze na kogoś z literatury, ale moim zdaniem nie zawsze trafnie. I tak np. stałe powoływanie się na Mylkego jest niezupełnie szczęśliwe, boć przecież mamy znacznie nowsze prace, choćby Hoppego czy Kobylańskiego. W ten sposób powstają takie błędy, jak nazywanie rykowiska — bekowiskiem, bekowiska — rujowiskiem itp.

Autor pisząc o wyginięciu łosia radzi, abyśmy go sprowadzili z Kanady. Na litość boską, przecież łoś kanadyjski to zupełnie inna forma i niech nas Bóg broni przed tego rodzaju regeneracją!

Pisząc o jeleniu, Krawczyński pisze stale o jeleniu karpackim, wspominając tylko pobieżnie o istnieniu jelenia nizinnego. A przecież nie wolno nam dzisiaj zapomnieć o wspaniałym jeleniu mazurskim, pomorskim i poznańskim. Jeleń karpacki słusznie nazwany jest królem jeleni, ale dziś musimy naszą uwagę skierować na jelenia nizinnego. Również proponowany przez Krawczyńskiego i uznany za dobry stosunek 1 byk na 4 — 5 łań, uważam za błędny. Stosunek ten winien wyglądać jak: 1:1,5 — 2,5. Wytyczne dla odstrzału selekcyjnego jeleni potraktowane są zbyt powierzchownie.

Pisząc o danielu, Krawczyński wymienia 2 odmiany: czarną i płową oraz mówi, że występują okazy białe. Tymczasem tak nie jest. Odmiana jest jedna: płowa z centkami. Okazy czarne — to melanosy, białe — to albinosy.

Dalej Krawczyński pisze, że hermafrodytyzm, występujący u sarn, powoduje wyrastanie parostków, pokrytych stale scypułem. Z tym nie mogę się zgodzić, gdyż widziałem sporo czaszek hermafrodytów sarnich, sam zabiłem przed wojną dwa i wszystkie czaszki miały parostki wyczyszczone.

W pracy swej Krawczyński wśród zwierzyny łownej nie wymienia muflona i nic o nim nie pisze, a przecież zwierzę to występuje obecnie w granicach Polski i hodowla jego, jak i pogłowie, rokują najlepsze nadzieje.

Gdy mowa o głuszcu i jego rozmieszczeniu, autor „Łowiectwa” nie wymienia woj. lubelskiego, gdzie stan głuszców bardzo się ostatnio poprawił i wynosi 57 sztuk, w tym 17 kogutów.

Nie wspomian autor przy cietrzewiu o polowaniu zimą z podjazdu. A przecież jest to jedno z milszych polowań.

Nieuwzględnienie nowych granic, a wskutek tego niedokładne opracowanie rozmieszczenia zwierząt, da-

je się szczególnie odczuć, gdy mowa o ptakach, zwłaszcza np. gęsi dzikiej i łabędzia.

Pisząc o dzikich kaczkach, autor popełnia znów dwa błędy, twierdząc, że na wiosnę kaczor leci zwykle pierwszy, oraz że bierze udział w wychowie młodych. My myśliwi wiemy, że kaczor z reguły leci za kaczką; oczywiście, może zdarzyć się i inaczej, ale wyjątki potwierdzają regułę. Co się zaś tyczy udziału kaczora w wychowie młodych, to raczej jest on negatywny. W czasie, gdy kaczka siedzi na jajach, kaczory są wręcz szkodliwe, gdyż chcąc zmusić samicę do powtórnego okresu godowego, niszczą gniazda tłukąc jaja. W późniejszym zaś okresie, t. j. kiedy młode się wyklują, kaczory zwykle przechodzą okres pierzenia, łączą się w wielkie stada, składające się z samych kaczorów i siedzą w miejscach najmniej dostępnych.

Wśród ptaków łownych wymienia Krawczyński czajkę, zaś wśród szkodliwych dla łowiectwa sójkę, orzechówkę i bąka. Mam wrażenie, że zachodzi tu nieporozumienie. Wprawdzie sójka czasem wypija jaja ptaków, ale ma to zwykle miejsce z ptakami małymi, nie mającymi żadnego znaczenia dla łowiectwa. Co zaś do orzechówki i bąka, to nie słyszałem, ani nie stwierdziłem ich szkodnictwa, a autor niestety nie podaje dlaczego zaliczył je do szkodliwych.

Chciałem tu zwrócić również uwagę, że przy stosowaniu nazwy łacińskiej, pierwszy wyraz pisze się z dużej litery, np.: Bubo bubo, Vanellus vanellus itd.

To byłoby wszystko, gdy mowa o błędach.

O dobrych stronach pracy Krawczyńskiego trudno jest pisać, trzeba by było przepisać wiele, wiele ustępów, znakomicie opracowanych.

Całość robi wrażenie bardzo dodatnie i trzeba przyznać, że tak obszernie opracowanego podręcznika o łowiectwie jeszcze nie mieliśmy w literaturze polskiej. Dlatego raz jeszcze muszę podkreślić zasługę autora, który podjął się tak trudnego dzieła.

Błędy muszą być, nie ma pracy bezbłędnej, ale nie umniejszają one jej wartości. Wymieniłem je z obowiązku recenzenta, podkreślając olbrzymią wartość pracy inż. Krawczyńskiego.

W końcu, chcąc naświetlić cel, jaki kierował autorem w pisaniu tej pracy, przytoczę jeden krótki urywek, świadczący aż nazbyt dobrze o nastawieniu autora do łowiectwa.

„To też sztuka łowiecka uczy człowieka wielu spostrzeżeń, wyrabia spryt, uszlachetnia naukę cierpliwości, rozwagi, opanowania, umiejętności, a rozumnie uprawiana, służy jak najlepiej zdrowiu. Im więcej człowiek przebywa w towarzystwie kryształowo czystej przyrody, nie mającej fałszu i obłudy, im częściej zbliża się do krynicy rzeczywistego piękna, jakim jest niepokalane tło i czysta arena myśliwskich zapasów, im więcej poznaje subtelny, chociaż powikłany mechanizm przyrody — tym więcej oddala się od prądów złej miary, a tym więcej zbliża się do poznania prawdy. Łowiectwo daje również sposobność do podglądnięcia i przestudiowania obyczajów dzikiego zwierza, od którego uczyć by się nam nieraz należało regulaminu i prostoty życia".

Mieczysław Mniszek Tchorznicki.

Do wyczerpującej oceny kol. M. M. Tchorznickiego dołączamy parę uwag, przysłanych nam przez asystenta Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, Janusza Królikowskiego, dotyczących opisu w „Łowiectwie" tura.

„Na stronie 80 został umieszczony opis tura oraz jego fotografia(?), która nie przedstawia bynajmniej tura, ale prawdopodobnie jakąś krzyżówkę bydła górskiego szkockiego. Opis tura podany przez Hilzheimera nie pokrywa się z ilustracją, jak również nie potwierdza go jedyny szkielet kompletny, znajdujący się w uniwersytecie w Lund, Szwecja. Bydło szkockie jest krewniakiem naszego tura, jak zresztą wiele odmian bydła hodowlanego kulturalnego np. nizinnego, ale typem od niego znacznie odbiega. Jeśli autor chciał pokazać czytelnikowi jak wygląda mityczny tur, to raczej należało umieścić rysunek podany przez angielskiego zoologa Hamiltona Smitha, który znalazł podobiznę tura u augsburskiego handlarza starożytności.

Podając synonim łaciński, należało przytoczyć go w całym brzmieniu: Bos primigenius Bojani, bowiem mamy kilka kopalnych odmian, jak np. tur mały, opracowany na podstawie zbioru czaszek w Brukseli przez Malsburga, profesora politechniki lwowskiej, zmarłego w czasie wojny, który otrzymał nazwę: Bos urus minutus interglacialis Malsburg.

Na marginesie oceny warto przypomnieć, że na parę lat przed wojną ostatnią, Niemcy próbowali odtworzyć tura przez krzyżówki bydła najwięcej zbliżonego typem do wyginionego przeżuwacza. W rezerwatach pod Hanowerem zaczęto robić studia, z jakimi wynikami i czy materiał hodowlany się zachował, nie wiemy".

J. Królikowski.

Druk i klisze – Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 1030. – V. 48. 25.000. –B–50065

Sekcja ochrony orła, sępa i puchacza

powołana do życia przez Wojewódzką Radę Polskiego Związku Łowieckiego w Krakowie, prosi Kolegów myśliwych o informacje, w których miejscowościach naszego kraju gnieżdżą się jeszcze wyżej wymienione ptak i w jakiej ilości.

Głównie idzie o informacje tyczące się **miejsc lęgowych orła przedniego** (Aquila chrysaetos) **i birkuta bielika** orzeł morski (Haliaeetus albicilla).

Wiadomości te potrzebne są Sekcji do opracowania sposobu zapewnienia tym wymierającym gatunkom odpowiednich warunków życia i możliwości zwiększenia ich pogłowia.

ADRES SEKCJI: KRAKÓW UL. MIKOŁAJSKA 5

Do wiadomości Kol. Łowczych Powiatowych

Wobec tego, że adresy przy wysyłaniu »Łowca Polskiego« odbijane są na metalowych kliszach, przy zgłaszaniu zawiadomień **o zmianie adresu** należy pobierać **od członków po 25 zł.** i przesyłać je pod adresem Redakcji »Łowca Polskiego« — Warszawa, Nowy Świat 35.

Prosimy również uprzedzać członków, teraz dopiero opłacających składki, iż zeszyty »Łowca Polskiego«, wydane w I-szym kwartale, nie będą im mogły być dostarczone.

REDAKCJA

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" W 1948 R.

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1948 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 1.000 zł., a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 600 zł. — otrzymują miesięcznik „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty. Pismo jest przesyłane przez Administrację „Łowca Polskiego" według adresów, dostarczonych przez Łowczych Powiatowych. O wszelkiej zmianie adresu należy powiadamiać kol. Łowczych Powiatowych, **dołączając 25 zł. na koszt sporządzenia nowej kliszy adresowej.**

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na poczcie na konto „Łowca Polskiego" w P. K. O. N I 1077 kwotę roczną 500 zł., bądź też w stosunku 50 zł. za jeden zeszyt.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 15.000 zł., za ¾ strony — 12.000 zł., za ½ strony — 9.000 zł., za ¼ strony — 6.000 zł., za ⅛ strony — 3.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne prywatne zwykłym drukiem—po 15 zł. za wyraz, grubym drukiem—30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Redakcji.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. **Wydawca** — Polski Związek Łowiecki.

Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.